Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT ● NR 43 (1831) ● 24–30 października 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
43
9 770867 223508

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Szacowne Osoby Czytelnickie!

Za rogiem listopad – czyli czas świętowania prywatnie zmarłych (1 XI) i państwowo poległych (11 XI). Z tej okazji już w przyszłym tygodniu ukaże się podwójny numer „NIE", podwójnie doniosły. Polecamy się Państwa namaszczonej uwadze.

Redakcja

WOJNA DOMOWA

Jeden koleś, co nie lubi Platformy, ciepnął butelką z benzyną w drzwi budynku na Wiejskiej. Drzwi prowadziły do biura PO, a także do legendarnej kawiarni Czytelnika, choć sprawca o kawiarni nie wiedział – co samo w sobie dowodzi, że nie należy do elitarnych stołecznych wyborców PO. W wyniku ataku osmalony został próg i powstała plama na chodniku. Świadkiem dramatu był śledczy poseł Zembaczyński – ten od komisji od Pegasusa. „Mieliśmy tutaj akt terroru. Jeden ze sprawców rzucił koktajl Mołotowa w drzwi, gdzie mieści się Biuro Krajowe Platformy Obywatelskiej, drugi próbował to podpalić. Bohaterski świadek odepchnął podpalacza, próbował go ująć, doszło do szarpaniny. Napastnik wyzywał interweniującego mężczyznę od jebanych platformersów. Był to atak polityczny" – zawyrokował poseł. Pewnie był, ale był też totalnie niepoważny. Nieodmiennie nas zadziwia, dlaczego politycy z obu stron barykady tak kochają uchodzić za ofiary. Może ktoś by im wytłumaczył, że takie skamlenie nie przydaje przymiotów męża stanu? Raczej przedstawicieli pokolenia Z, którzy lecą do mamusi na skargę, bo ktoś im powiedział brzydkie słowo w kolejce po sojową latte.

Gruchnęła wieść, że córka premiera, o powabnym nazwisku Tusk-Cudna, otrzymała status osoby poszkodowanej ws. podsłuchiwania systemem Pegasus. „Okazuje się, że PiS podsłuchiwał przy pomocy Pegasusa moją żonę i córkę. Wnuczki i wnuków też, podpalaczu z Żoliborza?" – zapytał retorycznie premier na X, nawiązując przebiegle do incydentu z osmolonym progiem. Nam nasuwa się inne pytanie, także retoryczne: jakim trzeba być idiotą? O ile jeszcze można zrozumieć, czemu PiS chciał podsłuchiwać posła Brejzę (acz, dalibóg, nie podejrzewamy, żeby szef sztabu PO miał w kampanii pomysły tak odkrywcze, żeby aż wymagały wykradzenia) – to co, do kurwy nędzy, chłopcy od Kamińskiego chcieli usłyszeć od starej Tuskowej i młodej Tuskówny? Koszt podsłuchu jednej osoby to 115 tys. dolków. Czy komukolwiek przychodzi do głowy choć jedna informacja od córki lub żony, która byłaby warta takiego wydatku?

A skoro już jesteśmy przy Pegasusie: do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko Michałowi Wosiowi. To ten wiceziobro, który podpisał przelew na 25 baniek, za które CBA zafundowało sobie inkryminowanego Pegasusa. Tefałen znalazł jednego posła PiS, który gotów był wyrazić oburzenie do kamery: „To jest skandal! To jest osoba, która kupiła system Pegasus po to, aby wyeliminować najgroźniejszych przestępców z polskiego życia gospodarczego i z Polski, więc jeśli ktoś za to, że wyeliminował przestępców, za to, że chciał – można powiedzieć – usunąć z życia społecznego, ale także z życia finansowego ludzi, którzy czerpali korzyści finansowe z przekrętów… Dzisiaj stawianie tych osób na ławie oskarżonych jest haniebne" – tokował poseł Łukasz Kmita, niech imię jego zostanie zapamiętane. A my pytamy: czy choć jeden przestępca został wyeliminowany z czegokolwiek za pomocą Pegasusa? I nie, to nie jest pytanie retoryczne. Pegasus nie służy po prostu do zbierania informacji. Służy do manipulowania nią, podrzucania podejrzanym fałszywek, za które mogą zarobić kosę od wspólników; to nie jest system inwigilacji, tylko sabotażu. Bardzo pasujący do państwa takiego jak Izrael – co jest kolejnym powodem, żeby z niego nie korzystać.

Rząd Koalicji 15 Października nigdy by nie pomyślał, żeby kupić coś tak szemranego jak Pegasus. Jego dbałość o bezpieczeństwo wyraża się zupełnie inaczej. Zacytujmy rzecznika rządu, min. Szłapkę: „Państwo uzyska narzędzie do tego, żeby w sytuacjach, kiedy kupuje się sprzęt, to ten sprzęt był szczególnie chroniony. No, zdarzają się takie sytuacje, że na przykład jest jakiś przetarg na liczniki prądu i zgodnie z przepisami jakaś firma wygrywa przetarg, gdyż jest to sprzęt najtańszy. A to jest sprzęt, który zbiera wszelkie informacje na temat tego, jak to funkcjonuje, i dane o naszym systemie energetycznym i o tym, jakie mają preferencje klienci, jak to wszystko działa, mogą być przesyłane. W związku z tym to jest też narzędzie, które pozwoli wymieniać sprzęt i reagować w sytuacji takiej, kiedy jakieś krytyczne zakupy infrastrukturalne dla poszczególnych firm będą realizowane"… My zrozumieliśmy z tego, że liczniki przestaną nas podsłuchiwać, a Wy? I tak na marginesie: czy to nie wspaniale, że rząd ma rzecznika o tak znakomitych zdolnościach komunikacyjnych?

Agata Duda pojawiła się na stronach NBP jako doradca prezesa Glapińskiego, ale po wybuchu gównoburzy szybko stamtąd zniknęła. Andrzej Duda z kolei zatrudnił się w firmie ZEN.com zajmującej się zakładaniem kont, które można ukryć przed komornikiem i żoną. To ostatnie może być jak znalazł. Były prezydent podziękował swojemu nowemu pracodawcy: „Dziękuję Panu Prezesowi Dawidowi Rożkowi i ZEN.com za zaufanie i ofertę współpracy. Ja również wierzę, że razem możemy jeszcze więcej i jeszcze lepiej". Pracodawca odpowiedział: „To przemyślana decyzja strategiczna, która wzmacnia nasz ład korporacyjny w momencie, gdy wchodzimy w etap intensywnej ekspansji na rynki o złożonym otoczeniu regulacyjnym, jak Azja i Bliski Wschód". Tłumacząc z korpomowy na nasze: prezes Rożek będzie posyłał byłego prezydenta RP, żeby załatwiał mu różne zezwolenia z szejkami i sekretarzami partii komunistycznej. Powodzenia.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Październik 2013 r.

Świętego Luca

W miesiąc po obcięciu mu jąder i wyrwaniu zębów pudel Azor to nie ten pies. Wesoły, żarty, szczekliwy, śmiały. Biega, skacze i nawet spadających liści się nie boi. Kompletna biologiczna odnowa. Waham się, czy jego śladem nie pójść do ginekologa i dentysty. Żona Daniszewska teraz też jest jak Azor. Z tym że pudel jakoś nie przepada za alkoholem. To tyle w domu plus paradoks: rehabilitacja mojego kręgosłupa – jedynej części ciała, której nie posiadam.

Świętego Rene

Prawicowy portal Wpolityce.pl drze szaty (duchowe) i donosi do KRRiT: „…były rzecznik rządu komunistycznego mającego sporo krwi na rękach stwierdził (w Superstacji TV): »Dzieci są winne pedofilii, bo prowokują (…) Istnieją wyuzdane sześciolatki. Im to sprawia przyjemność, jeśli nie wiąże się z przemocą, bo nikt nie lubi na sobie przemocy, chyba że jest masochistą. Ale tak to jest przyjemność dla dzieci i pedofil jest przyjemnym wujkiem«". Komentarz portalu: „Co na to rozmaite autorytety tego świata? Czy zareagują? Ileż cierpienia, krzywdy, bólu niewinnych dzieci mogą spowodować jego słowa!".

Jakim sposobem ja narażam dzieci, nie wyjaśniają. A przecież chciałem się Kościołowi podlizać, powtarzając to, co mówił szaman katolików abepe Michalik. Kościół neguje seksualność dzieci; twierdzi, że jest ona sztucznie wywoływana u niewiniątek przez otwarte mówienie, co to seks. W rzeczywistości kler chce tłumić naturalną seksualność dziatwy. A o przyjemnościach sześciolatka wiem z własnego doświadczenia. Dzień w dzień z przyjemnością bawiłem się w doktora. Szczegółów oszczędzę, żeby nie podniecać wielebnych księży-pedofilów. Aha, jeszcze jedno: prezes Dworak może mi naskoczyć.

Świętej Adeliny

Córka i zięć wrócili z ciepłych krajów, gdzie leżeli na plaży. Nagle minął ich przyjaciel z Polski czytający francuską gazetę. Spojrzał obojętnie, nie zareagował. Ich przyjaciel nie zna francuskiego. Czy może istnieć tak podobny sobowtór? Poszli za nim, zagadnęli – nie rozumiał po polsku. Zadzwonili do przyjaciela do mieszkania w Warszawie. Gosposia odparła, że pan wyszedł z psem, zaraz wróci. Wieczorem moja rodzina poszła do knajpy. Siedział tam sobowtór jej przyjaciela z kobietą i czytali francuskie gazety. Z bliska kobieta okazała się sobowtórem żony ich przyjaciela. Dwa sobowtóry to już za wiele. Sobowtóry parsknęły śmiechem. Żeby zrobić ten kawał, przyjaciele córki przylecieli specjalnie do ciepłego kraju, a zrobiwszy żart, odlecieli. To ważne, że są jeszcze w Polsce ludzie, którym humor dopisuje i kasa, a pomimo to nie są leniwi.

Świętej Celiny

Obama może sobie być najpotężniejszym prezydentem, ale Polska ma jedynego spośród dwóch setek prezydentów na świecie, który posiada psa chodzącego po drzewach jak kot. Jest to tajona wunderwaffe wyborów prezydenckich. Jeżeli w toku kampanii wyborczej Komorowski pokaże w telewizji, że jego pies chodzi po drzewach, zapewni sobie 90-procentowe poparcie. Aby tylko hycel nie zakradł się do Belwederu, to druga kadencja gwarantowana.

Świętej Elodii

Dotychczas ja służyłem pisowskiej prasie narodowej do zohydzania Adama Michnika. Pisano: Michnik – kumpel Jaruzelskiego, Kiszczaka i Urbana. Jednak czasy się zmieniły. Nienawiść do potężnego Michnika narosła. Michnik służy do brudzenia Urbana. Portal Wpolityce.pl pisze o mnie: Urban, kumpel Michnika i znajomy Moniki Olejnik. Niedługo będzie, że to Michnik i Olejnik, a nie ja, zabili Popiełuszkę.

Świętego Jacka

Michał Kamiński wyraził w telewizji podejrzenie, że to Urban wsadził do komisji Macierewicza tego profesora, który publicznie oświadczył, iż kłamał, mówiąc, że ma dowody, iż sławny Tupolew, lecąc, nie zszedł poniżej 100 m. Mnie zaś pytali cudzoziemcy, jak to możliwe, że 4,5 miliona dorosłych Polaków i Polek wierzy w zamach na samolot pod Smoleńskiem. A iluż Polaków wierzy w to, że Jan Paweł II pośmiertnie uzdrawiał, że AK wygrało powstanie warszawskie, a Kaczyński, gdyby został premierem, rozmnożyłby każdemu jego pieniądze.

Świętego Florentyna

Pudel Azor nie ma telefonu komórkowego, więc szczeka, ale nie na Obamę – jak Merkel.

Świętego Florentyna wieczorem

Niech minister Rostowski zapłaci rosyjskiemu właścicielowi działki pod Smoleńskiem dr. Bodinowi za ściętą przez samolot brzozę. Jeśli Rostowski naprawdę da pieniądze, a nie tylko obieca, wtedy wszyscy uwierzą, że brzoza była i że skosił ją polski statek powietrzny.

Świętego Krepina

Po latach milczenia obozu rządzącego podjął on kanonadę demaskującą bzdury zespołu Macierewicza. Przez 3,5 roku PO wierzyła, że idiotyzmy same się ośmieszają. Było to sprzeczne z historycznym doświadczeniem. 100 lat trzeba było wmawiać ludziom, że czarownic nie ma, aby przestali je palić. Propaganda głosząca, że Żydów nie należało zabijać, a i teraz nie jest to konieczne, nadal okazuje się potrzebna. Wielu dziesięcioleci wymagało przekonanie lekarzy do dokonanego już odkrycia, że ludzie umierają po operacjach i porodach, jeśli narzędzi medycznych nie ugotuje się jak kartofli. Wiara w to, że seks służy prokreacji, a orgazm stanowi skutek uboczny, nie zaś odwrotnie, w Polsce jest ciągle żywa u pierdolących w imię Ojca i Syna.

Świętego Krepina cd.

„PO jest główną w sensie funkcjonalnym formacją postkomunistyczną" – powiedział Kaczyński „Gazecie Polskiej" (nr 43). Jako postkomunista czuję się ciężko obrażony przez tego przygłupa. Szef „Gazety" Sakiewicz grozi zaś w komentarzu (pt. „To nie debata, tylko front") na temat negowania tez Macierewicza w sprawie samolotu: „...walka toczy się nie tylko o prawdę, ale dla wielu uwikłanych w smoleńskie kłamstwo także o kariery, wolność osobistą, a nawet życie". PiS chce przyciągnąć do siebie Monikę Olejnik, obiecując, że jak dojdzie do władzy, to ją powiesi. Wykonanie tego wymaga niezbędnie ścięcia gwieździe włosów, żeby nie zamotały się w stryczek. Na fryzjera wygląda mi Adam Hofman.

❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Liczenie emerytur

Mam pytanie do Pana Tadeusza Jasińskiego, który (w tekście „Za długie jest życie staruszka", „NIE", nr 41/2025 – red.) napisał: „Dzisiejszy emeryt żyje przeciętnie 18 lat i dwa miesiące po przejściu na świadczenie". Z powyższego wynika, że emeryt będzie żył 83,2 roku. Jak to się ma do wypowiedzi prezesa ZUS Zbigniewa Derdziuka, który na konferencji z okazji Dnia Seniora w Centrum Alzheimera w Warszawie podał, że statystyczna długość życia mężczyzn to 75 lat? Podobny wiek podają czarodzieje z GUS – 74,9 roku. Dlaczego autor artykułu posiłkuje się magicznymi tablicami średniego dalszego trwania życia? Od dziesięcioleci GUS w swoich tablicach podaje, że emeryci po przejściu na świadczenie będą żyli długo i szczęśliwie. I tak w roku 1999 – 80,3 roku, w 2005 – 81,4, w 2015 – 83,1, a w 2024 – 83,2. Tablice są po to, aby ZUS wyliczył jak najmniejsze emerytury. Jak długo żyli „szczęśliwi" emeryci można sprawdzić na cmentarzu (…), porównując zgony z lat 2005–2015.

Pozdrawiam
Robert z Płocka

Tradycyjne małżeństwa po pisowsku

Pan prezes Kaczyński wydalił z siebie opinię ekspercką o związkach partnerskich. Że propozycja takich związków jest rażąco niekonstytucyjna i zmierza do zastąpienia tradycyjnych małżeństw pseudozwiązkami. (…) A może by tak pan prezes raczył pilnować swojego podwórka? Bo zdaje się, że jego własna bratanica zmienia mężów szybciej niż rękawiczki. To te jej związki jakie są? Tradycyjne małżeństwa czy pseudozwiązki? A w PiS-ie też rozwodnik na rozwodniku i rozwodnikiem pogania. Wiadomo, tradycjonaliści!

Jan K., Warszawa

eprasa.pl 2b71fb3fd7

101. urodziny Andrzeja Werblana

Wiedzieć i się nie bać

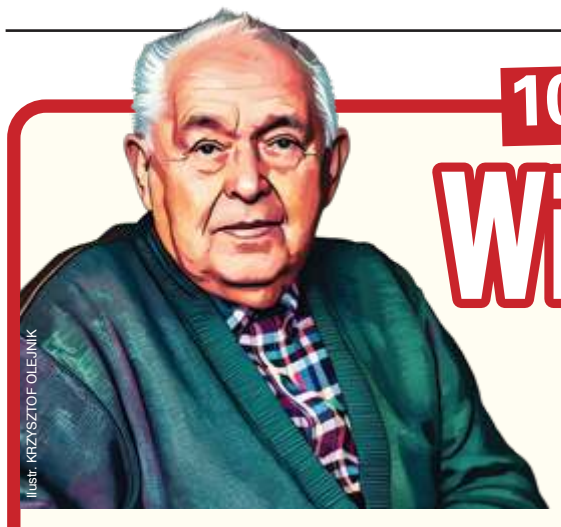
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Profesor Andrzej Werblan jest nie tylko tytanem wiedzy – co w zasadzie nie dziwi, zważywszy że chłonie ją od 101 lat – ale jest też uczonym o niezwykłej intelektualnej odwadze. W czasach „polityki historycznej", która sprawia, że historia, zamiast rzetelnego badania dziejów, staje się narzędziem manipulowania emocjami – wprost nie sposób wyrazić, jak cenna jest taka odwaga. Jego spojrzenie na historię – analityczne, pozbawione skłonności do niemądrych uniesień, wolne od narodowej megalomanii – pozwala nam zrozumieć dzieje Polski i świata w sposób, jakiego próbują nam odmówić politycy. Osobiście uważam to za największy dar, jaki uczony może dać swym uczniom.

W „NIE" profesor jest ojcem i gwiazdą rubryki „Wsteczności", która rozbraja mity prawicowo-narodowej propagandy. Jak choćby ten dotyczący roku 1920, który jest – zwłaszcza w ostatnich latach – używany do dolewania benzyny do ognia antyrosyjskich nastrojów opowieścią o tym, jak to Polska ocaliła Europę przed ruskim imperializmem. Prof. Werblan odpowiada: ani Europa nie czuła się zagrożona „bolszewicką nawałą", ani bolszewicy nie planowali zdobywać Europy. Wojna polsko-radziecka z 1920 r. była wojną o Ukrainę i zakończyła się remisem: granica wytyczona traktatem ryskim pokrywała się prawie dokładnie z linią rozgraniczenia wojsk, z której wojna startowała.

Innym mitem, namiętnie eksploatowanym przez dzisiejszą politykę historyczną, jest Jałta – a szczególnie „druga Jałta", której jakoby tylko my możemy zapobiec. Jałta – przypomina prof. Werblan – to symboliczne określenie porozumień, które zakończyły II wojnę światową i dały Europie kilkadziesiąt lat pokoju: „Mimo wielu perturbacji w ostatecznym rozrachunku zainteresowanym narodom i światu Jałta się opłaciła. Polsce też – wątpię, czy dzisiaj większość naszych rodaków, mogąc wybierać, wybrałaby przedwojenne granice i Lwów z Ukraińcami zamiast Wrocławia".

Prof. Werblan zmiażdżył też kilka moich osobistych mitów. Np. ten, iż Polska Ludowa była najlepszym krajem, jakim mogła być w tym momencie historycznym, w tym miejscu Europy. Nie – odpowiada Werblan – „Polska Ludowa mogłaby być lepsza, gdyby ci, którzy o nią zabiegali w czasie wojny, wykazali więcej rozumu". Gdyby w Polsce po stronie niekomunistycznej i nielewicowej znalazły się siły gotowe zawrzeć ze Związkiem Radzieckim porozumienie jeszcze w czasie wojny, można było uniknąć wasalizacji z lat 1948–1956, wynegocjować nieco korzystniejszą granicę wschodnią, znacznie liberalniejszy, mniej zglajchszaltowany ustrój wewnętrzny. Gdyby w Polsce znalazł się Mannerheim…

Lekcję na temat niezwykłej postaci, jaką był Carl Gustaf Mannerheim, także zawdzięczam prof. Werblanowi.

Naczelny dowódca fińskich sił w wojnie zimowej z ZSRR, marszałek, a później prezydent Finlandii, prowadził wojnę ze Związkiem Radzieckim: „I w momencie, kiedy ZSRR widział w tym jeszcze swój interes, zgodził się oddać im ważne fragmenty terytorium Finlandii, w zamian uzyskał ograniczenie wasalizacji tylko do polityki zagranicznej i militarnej. A po osiągnięciu tego porozumienia zrezygnował z prezydentury, wyjechał do Szwajcarii. Dziś jest bohaterem Finlandii"…

Idea, iż wielkość przywódcy może polegać na tym, że wie, kiedy przestać walczyć – jest w Polsce, zwłaszcza dziś, zupełnie niecenzuralna. Potrzebujemy takich idei dla naszego zbiorowego intelektualnego przetrwania.

Bez niezależnych historyków staniemy się populacją zombie wyżerających mózgi kolejnym pokoleniom, żeby broń boże nie powstała tam żadna niezależna myśl. Żyj nam długo, Profesorze. Jest Pan nam niezbędnie potrzebny.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Młodzi nasi i nienasi

Ile pieniędzy przynoszą Tuskowi dzieci

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

W drugą rocznicę objęcia rządów przez Koalicję 15 października w Piotrkowie Trybunalskim doszło do bezprecedensowego zdarzenia. Grupa wyborczyń uśmiechniętej Polski przerwała spektakl wzajemnej adoracji platformianych entuzjastów i wytknęła premierowi Tuskowi kilka niedociągnięć. Zachowanie szefa rządu pokazało, że Platforma Obywatelska i PiS potrafią mówić jednym głosem, a to niejedyna odnoga hipokryzji środowiska premiera.

Klapsy premiera

– Mam 30 lat i minimalne szanse na własne mieszkanie. Być może nie będę mieć męża, z którym będę mogła dzielić kredyt, nie wiem, czy będę mogła mieć dziecko, bo nie wiem, czy będzie mnie na nie stać. Bardzo wiele razy pan powtórzył o tym, że Polska jest 20. gospodarką na świecie, to chcę zapytać, jak to jest, że w tej 20. gospodarce młodym ludziom, takim jak my, nie starcza do pierwszego? – rezolutnie zapytała jedna kobiet, a kolejne przypomniały o dalekiej od stabilizacji sytuacji rodzin z dziećmi niepełnosprawnymi, prawie do aborcji i kilku innych nierozwiązanych przez Koalicję 15 października kwestiach.

Chociaż uwagi skupiły się na skądinąd trafnej diagnozie, że 20. gospodarka świata jest bardzo daleko od ludzi, którzy chcą nie tylko przeżyć, ale i żyć – premier Tusk wybrał przemoc.

– Problem macierzyństwa, problem, który nazywa się naukowo depopulacją, brak gotowości do macierzyństwa, ojcostwa, generalnie do posiadania dzieci jest oczywiście specyficzny nie tylko dla Polski, ale dla całej tej rozwiniętej części świata. Paradoks polega na tym, że najmniej dzieci rodzi się tam, gdzie ludzie mają najlepiej. Na tym polega problem, że my dzisiaj borykamy się z sytuacją, gdzie posiadanie dziecka zaczęło się kojarzyć młodym ludziom z ciężarem. I nawet nie chodzi o to, że to jest ciężar finansowy, bo jeszcze nigdy polskie dzieci nie przynosiły do domu tyle pieniędzy co w tej chwili – zadekretował szef rządu. – Nie zgodzę się z argumentem, że przez dwa lata ci, którzy mają dzieci lub chcą mieć dzieci, zostali jakoś bardzo poszkodowani, bo jest dokładnie odwrotnie – skasował niewygodne smęty wychowanego na traumie balcerowiczowskiej biedy i bezrobocia pokolenia premier, dorzucając na osłodę kilka tekstów o doskonałym przygotowaniu pytających oraz zapewnienie, że i w jego rodzinie znajdują się osoby zmagające się z niepełnosprawnością dzieci czy bezrobociem. Fakty są takie, że

premier zdekapitował argumenty przedstawicielek młodego pokolenia charakterystycznym dla prawicy mizernym konceptem retorycznym, jakoby zobowiązanym do rozpłodu obywatelom z dobrobytu i lenistwa poprzewracało się w dupach.

A wierna swemu panu sfora silnych razem – jak nazywają się popularyzatorzy religii PO – na modłę PiS dokończyła dzieła zniszczenia krnąbrnego wyznaniowo elementu.

Uderzenie silnych

Rezolutne obywatelki, które miały czelność zakłócić wystąpienie premiera Donalda Tuska i zadać niewygodne pytania, należą do Inicjatywy Wschód: polskiej fundacji i ruchu społeczno-aktywistycznego, skupiającego głównie młodych ludzi, w tym aktywistki feministyczne, społeczne i ekologiczne na rzecz zmian systemowych w Polsce.

Mobilizacja grup zmarginalizowanych w postaci kobiet i młodzieży, która była doskonałym elementem antypisowskiej kampanii w 2023 r., w 2025 stała się świetnym celem dla liberalnego peowskiego komentariatu. Na platformie X wyznawcy tuskizmu urządzili pogrom młodzieńczych idei, skupiając mało demokratyczne razy na współzałożycielce grupy Dominice Lasocie. Warszawiankę roku 2024 zwyzywano od roszczeniowych pasożytów, porównano do Hitlera i okraszono mianem krzykaczki do wynajęcia. Chętnie przypominano ubiegłoroczny wywiad Roberta Mazurka z Lasotą w RMF FM, w którym to redaktor robił sobie podśmiechujki, słysząc, że kobieta pracuje dla fundacji, która to fundacja (jak wszystkie inne) utrzymuje się z darowizn. Nawiasem mówiąc jak grzyby po deszczu wyskakiwały insynuacje wiążące Inicjatywę Wschód z finansowaniem przez Kreml. Pojawiły się nawet komentarze, że Lasota powinna być wdzięczna, bo za PiS-u ochrona wyniosłaby ją z sali, a premier w swej dobroci łaskawie wysłuchał. Zabawne, tyle szczęścia nie miała kobieta, która na początku października weszła w słowo Radosławowi Sikorskiemu podczas jego wystąpienia w Przemyślu. Kiedy oskarżyła szefa dyplomacji o negowanie ludobójstwa w Gazie, trzech ochroniarzy wywlokło ją z sali.

Inicjatywa Wschód poszła na spotkanie z premierem z pustymi rękami. Kobiety chciały zwrócić uwagę Tuska na newralgiczne problemy społeczne wymagające natychmiastowej korekty rządowej: podniesienie płac w budżetówce, opodatkowanie banków i gigantów cyfrowych od nadmiarowych zysków, budowa akademików i tanich mieszkań na wynajem, dofinansowanie zdrowia, montaż asystencji osobistej i walka z wykluczeniem komunikacyjnym.

Niestety, gros wyborców KO nie odnalazło w głosie młodego pokolenia wstawiennictwa za oszczanymi grupami społecznymi, za to wynotowało, że Lasota nie jest matką Polką, więc powinna przestać piłować dziób.

Posłanka Polski 2050 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz napisała na platformie X, że rozumie frustrację młodych, ale spotkanie to nie happening. Jednocześnie zapewniła, że Tusk słucha i wystarczy dać szansę na realizację rządowych planów.

Może i słucha, ale czy słyszy?

Na kogo stawia Platforma?

Jak się okazuje, fundacja fundacji nierówna.

Pod koniec września w Bukowinie Tatrzańskiej na Podhalu zainaugurowano projekt mający na celu zagospodarowanie młodzieńczej energii, która dwa lata temu pozwoliła Koalicji Obywatelskiej przejąć władzę. Grupa docelowa to osoby w wieku pomiędzy 19 a 25 lat, które „studiują lub są na początku drogi zawodowej", „chcą poznać osoby z pierwszej linii polskiego życia publicznego" i „być częścią wspólnoty, która zmienia Polskę". Za inicjatywą stoi Fundacja Zryw, bezpartyjna organizacja non profit, której misją jest „budowa przyszłych kadr państwowych". Organizacja przekonuje, że wyrasta ze społeczności państwowców, „którzy zdecydowali się działać wspólnie przy wyborach parlamentarnych w 2023 roku". Fundatorem Fundacji Zryw jest – cóż za zbieg okoliczności – syn Radosława Sikorskiego, Alexander Sikorski. Nawiasem mówiąc, szef MSZ był najważniejszym spośród wielu znamienitych gości wrześniowej imprezy.

Na 15 osób tworzących fundację osiem ukończyło studia w Wielkiej Brytanii, kilka ma już doświadczenie pracy dla rządu – w MSWiA, MSZ czy Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Jedną z założycielek Fundacji jest Agnieszka Homańska, szefowa gabinetu politycznego w MSZ, jednak jak podkreślają członkowie organizacji, to splot sprzyjających okoliczności, a nie polityczna strategia he, he.

O tym, kto weźmie udział w warsztatach, decydowały m.in. zrealizowane projekty społeczne. Te dotyczyły badań opinii publicznej, problemów z czytaniem sondaży czy tego, jak zmieniał się marketing polityczny. Uczestnicy, oglądając stare spoty wyborcze, analizowali, jak media przekręcają wyniki badań.

To w takiej bańce, a nie wśród biedy ze smrodem i pospólstwa zamierza szukać głosów wierchuszka Tuska.

Według Eurostatu stopa bezrobocia wśród osób do 25. roku życia w Polsce dobiła w tym roku do 13,5 proc. Trend się raczej nie odwróci, bo spada liczba ofert pracy na stanowiska juniorskie. Coraz więcej firm wdraża rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji, która automatyzuje proste i powtarzalne zadania, wiele zakładów pracy stawia na tanią siłę roboczą spoza UE. Czarę goryczy wśród młodego pokolenia przelewają niskie zarobki, brak stabilnych umów, niepłatne staże oraz dramatyczny niedobór mieszkań i usług publicznych, które w perspektywie dla wielu skończą się powrotem do rodzinnych miejscowości, bezrobociem i długofalowym ubóstwem.

Absurd i butę tekstu Tuska o tym, ile kasy aktualnie przynoszą do domu dzieci, można zestawić tylko z kampanią Koalicji Obywatelskiej o walce z wykluczeniem transportowym sprzed kilku tygodni, gdzie z dumą zaprezentowano pomysł zwiększenia mobilności młodych w miejscach, w których zbiorkomu zwyczajnie nie ma. Jak? Dając im możliwość zrobienia prawa jazdy w wieku 17 lat.

Platforma Obywatelska nie stawia na dialog z młodym pokoleniem, a jedynie starannie selekcjonuje narybek własnej bańki. Polityków obozu rządzącego nie interesuje Polska spoza metropolii. Identyczna sytuacja miała dwie dekady temu, kiedy jedyną alternatywą dla wielu młodych ludzi stała się emigracja. Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo smarkata w skutkach byłaby powtórka z tej przykrej rozrywki.

IDALIA DUBICKA

* 15 listopada 2025 r. o godz. 12:00 w Warszawie ruszy ogólnopolski protest „Dość wyzysku młodych!" organizowany przez młodych pracowników, studentów i osoby bezrobotne zrzeszone w OZZ Inicjatywa Pracownicza. Związkowcy apelują do organizacji młodzieżowych o dołączenie do mobilizacji i wspólnej demonstracji. Marsz przejdzie spod pałacu prezydenckiego pod Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Kto się boi Sary?

Zaryzykuję rewolucyjną tezę: dzieci to nie dorośli

Wszyscy się boją Sary. A już zwłaszcza jej ojca. W Naczelnym Sądzie Administracyjnym odbyła się rozprawa, mająca wyjaśnić, czy marszałek mógł odmówić wydania przepustki do sejmu dziecku nagrywającemu w sejmie rozmowy z politykami. NSA nakazał Wojewódzkiemu Sądowi Administracyjnemu powtórnie rozstrzygnąć sprawę. To jakiś cyrk – istna parodia praworządności. Co się z nami stało, że gdy tylko na horyzoncie pojawia się dziecko, wszyscy funkcjonariusze państwowi popadają w panikę moralną? Boją się, że ktoś ich oskarży o prześladowanie dziecka – taką minipedofilię? Najwyraźniej. Zdumiewające i zasmucające.

W historii Sary – jedenastoletniej „reporterki sejmowej" – wszystko jest tak nieprawdopodobne, że aż nie nadawałoby się na film. Wyobraźcie sobie dziewczynkę rozprawiającą z Braunem na temat istnienia bądź nieistnienia komór gazowych… Z ostrożności „przedprocesowej" (albowiem pan ojciec lubi kierować pozwy) nie powiem, co myślę o całej tej sprawie w jej aspekcie personalnym.

Akredytacja prasowa, którą Sara i jej ojciec cieszyli się przez dłuższy czas, została przez marszałka sejmu cofnięta, lecz dziewczyna bynajmniej nie przestała być w centrum uwagi. Kolejna szkoła, do której ją posłano (poprzednie opuszczała w atmosferze konfliktu), czuje się tak umęczona rozpolitykowaniem tych państwa, że domaga się przeniesienia dziewczynki oraz ograniczenia praw rodzicielskich jej rodzicom. Kilkadziesiąt osób, które napisały w tej sprawie do władz oświatowych, doczekało się prywatnego aktu oskarżenia ze stron rodziców o naruszenie ich dóbr osobistych. Awantura jest gigantyczna, a w samym środku tego wszystkiego – dziecko. Niezależnie od tego, jak to się skończy, mamy do czynienia z patologią i skandalem, w którym jak w soczewce odbijają się słabości współczesnych instytucji demokratycznych.

Oczywiście pierwsze, co rzuca się nam w oczy, to krzywda dziecka, niezdrowe ambicje rodziców i pieniactwo. Muszę to jednak zostawić na boku, bo nie chce mi się łazić po sądach – mam tego rodzaju przyjemności pod dostatkiem. Skupię się na instytucjonalnej stronie tej afery. Otóż żyjemy w czasach rewolucji moralnej, której częścią jest odkrycie człowieka w dziecku. Dzieci chronimy przez przemocą, a jednocześnie traktujemy je poważnie i rozmawiamy z nimi z odpowiednią dozą szacunku dla ich potrzeb, problemów, a także opinii. To zmiana wielka i niezaprzeczalnie pozytywna. Ma ona, rzecz jasna, związek z ogólną demokratyzacją życia i poważnym traktowaniem równości. Dlatego staramy się jak najmłodszą młodzież, a nawet dzieci, wdrażać do życia społecznego i wprowadzać w demokratyczne role społeczne, unikając przy tym nadmiernego dydaktyzmu i protekcjonalności. W szkołach są samorządy, w parlamencie spotkać można dziecięcych gości, a media na poważnie pytają nieletnich o ich opinie w sprawach dla nich istotnych. I to jest w porządku. Niestety, jak we wszystkim, również w tym można przesadzić albo się pogubić. Tak właśnie się stało, gdy małej Sarze pozwolono chodzić po sejmie z mikrofonem – jak gdyby nie było w tym nic politycznego, żadnej manipulacji, żadnej osoby dorosłej w tle. Oczywiście był interes, była manipulacja i osoba dorosła w tle, ale jakoś nie chciano tego zauważyć.

Dlaczego? Pewnie zaważył typowy dla naszej epoki sentymentalizm wobec dzieci, sprzęgnięty z oportunizmem. Rozumowanie Hołowni (czy kto tam o tym decydował) było zapewne takie: w sumie to piękny przykład demokratyzmu i otwarcia na dzieciństwo, gdy pozwolimy dziecku przepytywać polityków. A przy tym, gdyby tym ludziom odmówić, byłyby oskarżenia o lekceważenie dzieci, nastawania na ich prawa itd. Po co się więc narażać? Potraktujmy to z poczuciem humoru. Zapewne podobnie wyglądało to po stronie szkoły. Nieobecności, polityczne uwagi, specjalne wymagania związane z uczęszczaniem „małej reporterki" do szkoły musiały stanowić dla dyrekcji „wyzwanie". Zamiast od początku stawiać sprawę na gruncie zasad funkcjonowania szkoły i obowiązków uczniów, dyrekcja uginała się pod presją moralnego szantażu z demokratycznymi wartościami, dobrem dziecka, „walorami wychowawczymi" i czym tak jeszcze w tle, aż została przyparta do muru i obezwładniona. Obie instytucje – sejm i szkoła – posunęły się za daleko, pozwoliły sobie wejść na głowę, a teraz muszą przeżywać upokarzające konsekwencje wcześniejszej swej lękliwości i uległości. I jeszcze dochodzi do tego sąd, który podlega temu samemu ideologicznemu naciskowi. Sędzia też nie chce wyjść na „prześladowcę dziecka". Albowiem „wszystkie dzieci są nasze", czyż nie?

Rys. HENRYK CEBULA

Zmieniając regulamin dotyczący wpuszczania do sejmu dziennikarzy i zastrzegając to prawo dla osób pełnoletnich, marszałek sejmu musiał przyznać, że popełnił błąd. Odbyło się to w ten sposób, że po prostu napisano w stosownym komunikacie, dlaczego dzieci nie powinny bawić się w reporterów sejmowych. Dziennikarstwo nie jest bowiem zabawą – wiąże się ze znaczną odpowiedzialnością (na przykład w zakresie tajemnicy dziennikarskiej) oraz narażeniem na stresujące sytuacje. Sara musiała prędzej czy później zmierzyć się z niesympatycznym zachowaniem polityków, bo nie każdy jest taki lękliwy, żeby udawać, iż fajnie się bawi, gdy przepytuje go nasłana przez własnego ojca jedenastolatka. Ktoś niemiłym gestem odsunął jej mikrofon, a Kaczyński powiedział, że wolność słowa nie jest dla dzieci. Teza bardzo ciekawa i wcale nie jest takie oczywiste, że fałszywa, natomiast fakt, że jacyś idioci (z PO) poczuli krew i zgłosili to do komisji etyki, jest najlepszym dowodem na to, że upolitycznienia sprawy Sary nie dało się uniknąć.

Polskie państwo na dźwięk słowa „dziecko" wpada w panikę. Dziecku wszystko wolno, bo nikt nie weźmie na siebie ryzyka oskarżenia o atakowanie dziecka. Tylko że za dzieckiem zwykle stoi ktoś bardzo niedziecinny, mający niekoniecznie dobrą wolę i czyste intencje.

Przypomina mi się w tym kontekście metoda chłopców z ferajny. Żeby tak nie napadać na frajera ni z tego, ni z owego, wysyłało się dzieciaka, żeby go zaczepił. A jak zaczepiony się odganiał, to ferajna podlatywała z krzykiem, że frajer dzieciaka bije. I nuże mu manto spuszczać i ogołacać z portfela i sikory złotej. Sprawa Sary pokazuje, że metoda wciąż się sprawdza.

JAN HARTMAN

PLURALIS MAIESTATIS

Moja, Twoja Wolność

Niech żyją zakonnice i łososie!

W Barwinku (woj. łódzkie) strażacy szczęśliwie wyciągnęli z suchej pięciometrowej studni lisa i psa. „Zwierzęta nie były wobec siebie agresywne – wyglądały, jakby się wspierały w trudnej sytuacji" – powiedział dowódca akcji st. asp. Michał Bugaj z Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Radomsku. I git!

Moja Mama przez chwilę zastanawiała się, czy aby to pies nie pogonił lisa i obaj nie wpadli do studni? A ja, czy pies nie zerknął do studni, aby popatrzeć na Rudą Kitę, i się nie zsunął do wnętrza? Jednak takie dywagacje są kompletnie nieistotne. Ważne jest to, że żadne zwierzę nie połamało sobie łap. A kiedy już zostali towarzyszami niewoli, zamiast się pokąsać albo nawet rozedrzeć na strzępy, to wtuliły się w siebie futro do futra i przetrwały zimną noc. Nie doszukuję się w tym romantyzmu, a pragmatyzmu. Należy oszczędzać energię! Pomoc przyszła na tyle szybko, że dała szansę na happy end.

Tymczasem 75 tys. hodowlanych łososi, korzystając z burzy, prysnęło do wód Zatoki Loch Linnhe. Nie skończą na talerzach. Rzecz jasna część z nich padnie z głodu albo zginie w pyskach drapieżników. Ale trzymajmy kciuki za te, które sobie popływają, a i pobzykają. W gruncie rzeczy ekologiczne histerie, jak to bardzo zaszkodzi genetycznej czystości ryb dzikich, uważam za przesadzone. Niech żyje wolność!

Co tam zresztą ryby… Mnie najbardziej ujęła ucieczka pingwinów. Trzy austriackie zakonnice – Bernadetta (88 lat), Regina (86 lat), Rita (82 lata) – dały dyla z Domu Spokojnej Starości, w którym przymusowo umieścili je przełożeni. Zakonnicom renegatkom pomogli byli uczniowie, bowiem panie przez całe lata uczyły dzieciarnię w klasztorze Schloss Goldenstein (Elsbethen). Kiedy narybku zabrakło, zakonnice przeniesiono do domu starców, dzieciarnię do jasnej szkoły, a zamczysko zamknięto na cztery spusty. Miejscowy proboszcz Markus Grasl, kiedy dowiedział się, że starsze panie wbiły z powrotem do Goldstein, nie krył swojego oburzenia. Dla niego bunt zakonnic jest „zupełnie niezrozumiały" i stanowi „eskalację".

Eskalację czego? Wolności? Wolności nigdy za wiele. Grasl stwierdził, że dom opieki gwarantował „absolutnie niezbędną, profesjonalną i dobrą opiekę medyczną", a także iż „pomieszczenia w klasztorze nie nadają się już do użytku i w żaden sposób nie spełniają wymogów właściwej opieki". Najwyraźniej proboszcz nie skapował, że sztuka życia polega czasem na tym, żeby zdechnąć na własnych warunkach. Choćby – leżąc na trawie i gapiąc się w niebo. „Zanim umrę w tym domu starców, wolałabym pójść na łąkę i w ten sposób wejść do wieczności" – powiedziała siostra Bernadetta. Jak na razie zbuntowane siostry okopały się w swoich dawnych celach. Dzięki staraniom wychowanków, znakomicie wychowanych, mają wodę, prąd, jedzenie, leki. „Cieszę się, że jestem w domu" – powiedziała siostra Rita. „W domu opieki zawsze tęskniłam za domem. Jestem taka szczęśliwa i wdzięczna, że wróciłam". I tak trzymać, siostry. 120 lat w dobrym zdrowiu życzę!!! Z całego serca.

Godne odnotowania jest to, co powiedziała 88-letnia siostra Bernadetta: „Przez całe życie byłam posłuszna, jednak tym razem poczułam, że to ponad moje siły". Chwała ci, siostro w wolności!!!

Jak sobie radzą dziewczyny? Zerknijcie na ich instagram: nonnen_goldenstein.

Muszę przyznać, że cholernie mnie cieszy, że zgodnie z obietnicą złożoną Państwu w poprzednim felietonie, mogę napisać coś pozytywnego. W dodatku czyniąc to, nie muszę kłamać jak Szłapka. Jest jakieś pocieszenie – nie cały świat się spierdolił. Lis przytuli się do psa – warto wspólnie ogrzać łapy, kity, ogony. Stopy… Hodowlane łososie śmigną na wolne tarło. Zakonnice mają jaja i potrafią się postawić marudnym zwierzchnikom. Starość może być pełna ikry. Dobra nasza! Może i nawet Erich Fromm trochę się pomylił w swojej ikonicznej pracy „Ucieczka od wolności". Zatem – mazel tov, przyjaciele i wrogowie.

IZABELA SZOLC

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Konflikt posłów Pawła Śliza (obecnie Polska 2050) z Tomaszem Zimochem (dawniej Polska 2050) to przykład tego, co polityka robi z ludźmi. Jak wiadomo, Śliz opierdolił Zimocha jak burą sukę za to, że nie miał karty do głosowania, przez co koalicja rządząca przegrała głosowanie na posiedzeniu sejmowej komisji sprawiedliwości. Powiedział po męsku i zgodnie z prawdą: „To przez tego pierdolonego Zimocha, kurwa!". Nie wyłączył mikrofonu, przez co odzywka stała się publiczna.

Wobec czego Śliz – nadal po męsku – przeprosił Zimocha, prosząc, żeby był łaskaw incydent puścić w niepamięć, i obiecując, że to się już nigdy nie powtórzy. Co na to Zimoch? Nie – odpowiedział. Przeprosin nie przyjął, a w dodatku zażądał dymisji Śliza z funkcji przewodniczącego komisji.

Pan Obrażalski. Beksa. Histeryk. A kiedyś był całkiem zdolnym i porządnym dziennikarzem.

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Kler zawsze u władzy

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Tygodnik „NIE" rozmawia z Kamilem Janickim, autorem wydanej właśnie książki „Dziesięcina. Prawdziwa historia kleru w dawnej Polsce".

– Tytuł drugiego rozdziału pańskiej najnowszej książki „Dziesięcina" brzmi: „Czy Kościół rządził Rzeczpospolitą?". To rządził czy nie?

– Pytanie jest oczywiście prowokacyjne, ale po wieloma względami odpowiedź musi brzmieć: „tak!" Kościół, czy też, żeby być precyzyjnym, kler, był częścią ówczesnego systemu władzy. Przy obsadzie wysokich urzędów kościelnych kwestie czysto religijne miały nikłe znaczenie. To były stanowiska przynoszące wymierne dochody, powiązane z wpływami politycznymi, dające dosłowny udział w rządach. Każdy biskup niejako z urzędu stawał się i magnatem. A zarazem automatycznie dołączał do grona bezpośrednich decydentów – członków senatu. Trzeba jednak pamiętać, że wtedy panował zupełnie inny sposób organizacji państwa i Kościoła niż ten, z którym mamy do czynienia współcześnie.

– Zatem z czym mieliśmy wówczas do czynienia?

– Nie możemy myśleć na przykład, że istniał jeden Kościół z centralą w Watykanie, a ta centrala miała nadzór nad każdym duchownym z osobna. Na dobrą sprawę istniały setki czy nawet tysiące małych „Kościołów", które funkcjonowały zgodnie z wolą lokalnego zwierzchnika. Każdy biskup cieszył się ogromną niezależnością, ale nawet pojedynczy pleban we własnej parafii miał bardzo daleko posuniętą swobodę.

Księża najpilniej strzegli oczywiście informacji o rzeczywistych rozmiarach i dochodach swoich majątków, a papiescy urzędnicy nie bardzo mieli jak tę wiedzę egzekwować. „Kontrola ze strony Kurii Rzymskiej była czysto formalna. Rzym był daleko i nie miał żadnego wpływu na karierę biskupów" – pisał historyk Kościoła Wiesław Müller. W Polsce mieliśmy też fikcję państwa: nie było silnej władzy królewskiej, sprawnych urzędników ani silnego wojska, więc Kościół tę lukę wypełniał. To był ewenement na skalę Europy – nigdzie nie było tak niezależnych i wpływowych biskupów jak u nas. Nie było ich wielu, ale byli niezwykle bogaci i wpływowi. Nawet historycy kościelni przyznają, że nie było w dobie nowożytnej kraju, w którym episkopat w tak wielkim stopniu uczestniczyłby we władzy.

– Dziś również księża nie słyną z zamiłowania do transparentności finansowej ani z uległości wobec władz.

– Aby zrozumieć dawny Kościół, trzeba jednak pamiętać, że to wcale nie była jedna organizacja, jeden majątek. Każdy urząd wtedy działał odrębnie, miał własne, niezależne uposażenie. W tym sensie dowolny pan na parafii czy diecezji stanowił osobny ośrodek, a interesy ich właścicieli nie zawsze były zbieżne. Urzędy były de facto dożywotnie i raczej nikt nie mógł pozbawić funkcji plebana czy biskupa, co gwarantowało im dowolność w działaniu. Pleban dostawał ziemię, chłopów, czasem karczmę – stawał się pełnoprawnym gospodarzem, tyle że w stroju duchownym. To dawało duchownemu taką niezależność, że praktycznie przed nikim za nic nie odpowiadał.

– Nawet przed Bogiem?

– To inna sprawa. Wyczuwam w tym pytaniu ironię, jednak ówczesnych duchownych nie można posądzić o cynizm. Wiara w Boga była czymś oczywistym, tzn. prawie nikt się nawet nie zastanawiał nad możliwością jego nieistnienia. Człowiek panicznie bał się Boga. Nie tylko wieczności w piekle, ale też doczesnej kary boskiej. Nie byli wolni od tego strachu duchowni. Gniew niebios mógł, w ówczesnym mniemaniu, spowodować pomór bydła, pożar w gospodarstwie, nieurodzaj, śmiertelną chorobę.

– Czyli zupełnie przyziemne strachy.

– Owszem, wtedy religię postrzegano w dalece transakcyjny sposób – gniewnego Boga starano się przebłagiwać modlitwami, ofiarami. Nawet biskupi zabezpieczali się na wypadek zarówno doczesnej, jak i pośmiertnej kary. Najczęściej zawczasu fundowali nowe urzędy kościelne i osadzali na nich ludzi, którzy mieli wieczyście odprawiać nabożeństwa w ich intencji.

– Bali się, że za złe traktowanie chłopów będą się smażyć w piekle?

– To by niemal nikomu do głowy nie przyszło. Wtedy inna była etyka. Korzystanie z niewolniczej pracy chłopów nie uchodziło za grzech, ale za normalny porządek ustalony przez Boga. Promowano wizję, zgodnie z którą pan w niebiosach podzielił ludzi na tych, którzy mają rządzić, i tych, których rolą jest słuchać. I którzy są wprost stworzeni do pracy.

– Mówi pan o niewolniczej pracy, a zatem mieliśmy w Polsce niewolnictwo?

– Dla mnie ten system spełnia wszelkie kryteria niewolnictwa – w szerokim rozumieniu. Oczywiście jeśli zechce go ktoś porównać z np. niewolnictwem amerykańskim w XIX w., to będzie to inny model. Ale przecież niewolnictwo istniało przez całą historię ludzkiej cywilizacji. I u nas na masową skalę handlowano ludźmi, a panowie mieli nad poddanymi władzę życia i śmierci. Mogli ich bezkarnie zabić, bo to była ich własność, formalnie nic więcej.

– To może chociaż księża – piewcy chrześcijańskich wartości – lepiej traktowali chłopów?

– W ówczesnym systemie to by było i niezrozumiałe, i nawet niemożliwe. Podstawą wszystkich wielkich majątków kościelnych była ziemia.

Biskupi, kanonicy, zamożni plebani – oni wszyscy zarabiali nie na czym innym, ale właśnie na pańszczyźnie, na systemie wyzysku. Kler więc – jak inni szlachcice – korzystał z niewolnictwa.

To zaś wymagało dość specyficznego podejścia do obowiązków, tak panów, jak i poddanych. Przesadny wyzysk krytykowali głównie księża pozbawieni dużych majątków, słabo uposażeni. Ewentualnie sprzeciwiano się pewnym formom eksploatacji po prostu dlatego, że obawiano się, że na dłuższą metę zmniejszy ona dochody.

– Wiemy już, że przedrozbiorowy Kościół był bogaty. Jak duży posiadał łącznie majątek?

– Odpowiedź na to pytanie również jest złożona. Problem w tym, że nikt tego tak naprawdę dogłębnie nie badał i nie bada, a przynajmniej nie bez uprzedzeń. Z jednej strony mamy więc badania uczelni kościelnych, które – co zrozumiałe – nieprzesadnie skupiają się na zagadnieniach finansowych. Z drugiej zaś dzieła historyków czy to z czasów PRL-u, zwłaszcza stalinizmu, gdy istniało oczywiste zapotrzebowanie polityczne. Dodatkowy problem polega na tym, że nawet przed stuleciami nikt nie potrafił wprost powiedzieć, jak wiele ziemi i ludzi ma polski Kościół. Ba, w przedrozbiorowej Polsce nikt, nawet król, nie wiedział dokładnie, ile w ogóle jest miejscowości, a co dopiero, do kogo należą i ile są warte. Szczegółów można by szukać w księgach podatkowych, ale skala fałszerstw była olbrzymia. Szlachcice rozmyślnie ukrywali swoje majątki, w bardzo rzadkich przypadkach, gdy nakładano powszechne podatki. Podobnie czynił kler, który zobowiązany był do danin na rzecz Rzymu oraz co jakiś czas musiał wesprzeć skarbiec państwa, choć nie był to podatek taki jak dla innych. Zasoby kleru stanowiły stały temat obrad posłów, którzy zżymali się na pomnażających stan posiadania duchownych, wyprzedzających świeckich panów. W XVI w. na sejmach alarmowano, że w kościelnych rękach jest już połowa, a może nawet przeszło połowa miejscowości. Choć dowodów brakowało, a każdy mówca miał jednak trochę inne wyobrażenie. Co do jednego panowała zgoda: kler ma dużo, wręcz za dużo. I wciąż chce więcej.

– Choćby w przybliżeniu: ile Kościół posiadał majątku?

– Historycy mieli dotąd bardzo rozbieżne zdania. Pojawiło się jednak nowe źródło, pozwalające udzielić rzetelnej, choć siłą rzeczy przybliżonej odpowiedzi. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk udostępnił bazę danych ogromnego projektu kartograficznego, prowadzonego przez przeszło pół wieku. Dzięki tym arkuszom można dzisiaj wyłuskać dość miarodajne dane, choć dotąd nikt nie próbował tego na większą skalę robić. W każdym razie: był to majątek ogromny, ale nie tak wielki, jak myśleli dawni panowie herbowi. W dużym uproszczeniu Kościół był bogatszy od króla i państwa, ale musimy brać pod uwagę ówczesne realia ustrojowe, o których już wspominałem. „Na dzisiejsze" każde biskup zarabiał od kilku do kilkunastu milionów złotych rocznie. Były to pieniądze do jego osobistej dyspozycji. Ogromne były też dochody kanoników, do tego dochodzą trzy tysiące parafii, z których każda była lepiej lub gorzej uposażona, wreszcie zakony z łącznie niebagatelną fortuną. Ogółem 13–14 procent wszystkich miejscowości w kraju należało do Kościoła. Była to zatem bardzo znaczna siła, tylko że znowu: kler nie stanowił monolitu, który miał wspólne cele i budżet.

– Czy dawne majątki i pozycja kleru mają jakieś przełożenie na współczesność?

– Dawny system finansowania Kościoła, zgodnie z którym każdy urząd miał swoje uposażenie do osobistej dyspozycji danego duchownego, na dobre zlikwidowano dopiero na początku XX w. Naprawdę niedawno! A wiele jego reliktów funkcjonuje do teraz. Poza tym zwroty majątków kościelnych odwołują się właśnie do tego przedrozbiorowego stanu rzeczy, przynajmniej w teorii. Bo jeśli coś się zwraca, to niby z założeniem, że pierwotnie, czyli właśnie przed rozbiorami, zanim ruszyła pierwsza fala konfiskat, należało do Kościoła.

Jest też wiele śladów w kościelnym obyczaju. Choćby taka tytułomania, pogoń za jak najdumniej brzmiącym określeniem. Każdy zarządca parafii dziś jest nazywany proboszczem. Ale ten tytuł oznacza przełożonego, był dawniej zastrzeżony tylko dla księży, którym podlegały całe kolegia innych kapłanów. Prawidłowo ksiądz zawiadujący parafią to pleban. Ale to przecież brzmi zbyt mało dumnie. W Kościele, podobnie jak w państwie, następowała inflacja tytułów, bo każdy chciał się czuć dumnie i po pańsku

– Rzeczpospolita szlachecka zapładnia ostatnio wyobraźnię twórców popkulturowych. Triumfy święci serial „1670". Ile w nim historycznej prawdy?

– Zrobiłem na ten ostatnio temat odcinek na mój kanał youtubowy „Wielka Historia". I nie przeczę, to jest dobra komedia, zabawna. Ale jako historyk z trudem patrzę, ile przemyca historycznych błędów, które potem zostaną ludziom w pamięci. Jeśli parodiujemy historię, to zakładamy, że jest w tym w ogóle jakaś prawda historyczna. W serialu występuje np. dość absurdalny wątek organizacji dożynek dla króla i szlachciców. Ale przecież dawne dożynki to nie była żadna elitarna impreza, tylko sposób kanalizowania gniewu chłopów. Drobna zapłata dla wyzyskiwanych niewolników po okresie najcięższej, nadludzkiej pracy. Po żniwach właściciel folwarku dawał poddanym – którzy wykonali je przymusowo i za darmo – beczkę wódki i trochę lepszego jadła, żeby nie czuli się aż tak wykorzystywani. Tymczasem w serialu przedstawiono dożynki zupełnie ahistorycznie jako imprezę dla elity! Rozumiem, że „1670" jest satyrą na współczesność w kostiumach historycznych, ale dałoby się to zrobić z pożytkiem dla popularyzacji wiedzy historycznej. Zwłaszcza że ukazana fikcja jest nieraz mniej kuriozalna niż to, co się działo naprawdę wśród polskiej szlachty.

– W „Dziesięcinie" przedstawia pan nieco inną wykładnię celibatu niż ta, do której przywykli antyklerykałowie.

– Rzeczywiście, przyjęła się interpretacja, że bezżeństwo księży ściślej związane jest z ekonomią niż z teologią i stanowi jedynie dewocyjną przykrywkę dla systemowego pozbawiania spadku dzieci i wdów po księżach. To się wydaje w gruncie rzeczy logiczne, ale… we współczesnej rzeczywistości. Kiedy popatrzymy wstecz na historię Kościoła, opowieść o tym, że celibat wymyślono dla pieniędzy, nie ma oparcia w realiach. Idea pojawiła, się jeszcze zanim Kościół uzyskał jakiekolwiek wpływy, gdy nie miał żadnego majątku, a w pierwszych wiekach chrześcijaństwa była promowana nie tylko wśród kapłanów. Wczesni chrześcijanie spodziewali się rychłego powrotu Chrystusa na ziemię, więc odrzucali wszystko, co ich oddala od spraw boskich, w tym seks. To był kult apokaliptyczny, religia końca.

– Z biegiem czasu taka formuła życia duchownych okazała się przydatna dla rosnącej w siłę instytucji.

– Oczywiście z czasem, gdy Kościół zyskiwał wpływy polityczne i finansowe, obowiązkowy celibat pomagał utrzymać porządek w papierach i majątku. Badacze z Uniwersytetu w Zurychu, zajmujący się celibatem z perspektywy gospodarczej, stwierdzili że w średniowieczu „majątki kościelne zostały zagrożone prywatyzacją", więc „bardziej stanowcze zaaplikowanie reguły celibatu wewnątrz Kościoła katolickiego było oczywistym krokiem mającym służyć powstrzymaniu takich tendencji". Podłoże doktrynalne istniało od dawna. Celibat stał się narzędziem, które pozwalało zapobiegać prywatyzacji majątku Kościoła, z drugiej zaś strony nigdy nie dało się wymusić na księżach, by nie mieli partnerek i dzieci. Zresztą do dziś jest to niemożliwe.

Kamil Janicki, historyk specjalizujący się w dziejach II Rzeczypospolitej, jest także autorem książek „Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa" oraz „Warcholstwo. Prawdziwa historia polskiej szlachty".

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 2b71fb3fd7

WIELKI HETMAN MORAWIECKI

O czym marzy były premier

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mateusz Morawiecki najwyraźniej nie ma co robić. Majątek przepisał na żonę – i dzięki temu nikt nie wie, jakie akcje spółek skarbu państwa posiada, a jakie lepiej omijać szerokim łukiem. Wszystkie niecności okresu premierowania – w tym zaprzepaszczenie 700 mld zł z KPO, które rzekomo „załatwił" Polsce i do których szczerzył się na plakatach – uszły mu płazem. Podobnie jak koszmary legislacyjne w rodzaju ustawy podatkowej zwanej Polskim Ładem czy budowanie na spółę z Glapińskim równoległych budżetów państwa poza kontrolą sejmu.

Dzięki pobłażliwości Tuska i własnej aktywności w mediach, zapewne wspieranej przez Kaczyńskiego, Morawiecki nie tylko wrócił do gry, ale wręcz jest rychtowany na premiera 2027 r.

Krąg wzajemnego zaufania i przelewów

Tutaj wypada przypomnieć, że 6,54 mln zł (ze środków Skarbu Państwa) plus 3 529 945 zł – ta druga suma już bezpośrednio z Kancelarii Premiera – trafiły do Fundacji Instytut Nowych Mediów. A wszystko to w czasie, gdy ster rządu dzierżył sam Mateusz Morawiecki.

Pieniądze nie wyparowały, tylko – jak to w Polsce bywa – zamieniły się w wartości duchowe: trafiły do instytucji, której prezesem jest mój szanowny kolega Eryk Mistewicz. To właśnie jego fundacja prowadzi portal „Wszystko co najważniejsze" – miejsce, gdzie dziś publikuje sam Morawiecki i gdzie patriotyzm miesza się z autopromocją w proporcjach godnych najlepszych laboratoriów propagandy.

Trzeba przyznać: pomysł genialny w swej prostocie. Premier finansuje fundację, fundacja finansuje portal, portal promuje premiera. Krąg zamknięty, przepływ czysty, a VAT – jak zwykle – w sam raz. Serdecznie pozdrawiam mojego szanownego kolegę Eryka. Takie talenty komunikacyjne to rzadkość – zwłaszcza kiedy potrafią przemawiać głosem państwowego budżetu.

Hetman z Excela

I na tym portalu „Wszystko co najważniejsze" pan Morawiecki ostatnio wczuł się w swój zawód wyuczony – historyka – i popełnił tekst pod tytułem „Doktryna Żółkiewskiego".

Jest to utwór patetyczny, historyzujący, napisany w tonie męża stanu, który już nie widzi siebie jedynie jako przyszłego/byłego premiera, lecz objawia się jako strateg dziejowy przygotowujący Polskę i Europę do „długiego marszu" wojennego.

„Doktryna Żółkiewskiego" jest merytorycznie poprawna co do faktów, ale mylna w sferze ocen.

Morawiecki sięga po retorykę historyczno-mesjanistyczną, konsekwentnie obsadza Polskę w roli narodu wybranego, który „zatrzymuje imperium". To klasyczna projekcja, dodająca dramatyzmu. Z drugiej strony pozwala mu jednak kreować się na kontynuatora wielkich hetmanów. „Hetman Stanisław Żółkiewski udowodnił, że Moskwę można nie tylko zatrzymać, ale i odepchnąć" – pisze były premier, z wykształcenia historyk. W tej narracji historia nie jest obiektem chłodnej analizy, lecz paliwem politycznej mitologii.

Całość przepełniona jest patosem strategicznym. Morawiecki nie pisze o podatkach, służbie zdrowia czy innych przyziemnych sprawach. Używa języka epokowych zwrotów: „Europa doszła do punktu, z którego nie ma odwrotu"; „musimy przygotować się na długi marsz"; „to moment, by zawalczyć o przyszłość – Ukrainy i całej Europy". To nie są sformułowania finansowego technokraty. To są słowa człowieka, który wyobraża sobie siebie jako aktora wielkiej Historii.

Z tekstu wyłania się wizja Morawieckiego jako lidera wojennego. On już nie proponuje polityki, on kreśli „doktrynę", swoisty „rulebook – rozkład jazdy dla tego i każdego następnego rządu". To typowe dla polityka, który chciałby być zapisany w podręcznikach nie jako premier od Polskiego Ładu, ale jako ten, który „przygotował naród" do starcia cywilizacji.

Patos w natarciu

Morawiecki straszy i uwzniośla zarazem.

Wojna nie jawi mu się jako katastrofa, lecz jako spełnienie dziejowej roli. Każda decyzja – zakupy zbrojeniowe, ingerencja w życie obywateli, militaryzacja społeczeństwa – znajduje w „doktrynie" usprawiedliwienie jako element historycznej konieczności.

„Musimy działać już teraz. Bo przyszłość Polski i całej Europy może rozstrzygnąć się w ciągu kilku najbliższych lat" – kończy swój wywód.

Problem w tym, że w rękach polityka, który realnie może wrócić do władzy, taki sposób myślenia staje się potencjalnie groźny. Zamiast pragmatycznych pytań o koszty i ryzyka, mamy wizję epickiej misji, w której naród i premier znajdują sens swojego istnienia.

To niestety pomysł Morawieckiego na przyszłą Wielką Polskę: zamiast mObywatela – mWojak, zamiast Trójmorza – Sześciomorze. Dorzućmy wszystko, co się leje i słone: Bałtyk, Czarne, Adriatyk, Śródziemne, Kaspijskie i – dla odmiany – Morze Martwe, bo świetnie pasuje do nastroju.

Aplikacja mWojak będzie miała trzy funkcje: mobilizacja, meldunek i „przepraszam, nie mogę, mam czołg".

Hełmy zamiast marzeń

Jeśli Morawiecki wróci w 2027 r., a świat postanowi pójść w stronę eskalacji, to marzenie o roli „premiera Polski podczas III wojny światowej" ziści mu się tak, jak zwykle spełniają się narodowe sny: ku chwale podręczników, nie obywateli. U boku prezydenta kulturysty dostaniemy państwo z betonu, w którym jedyną zielenią będzie farba na hełmach. Zamiast „Polski wstającej z kolan" – Polska biegająca w hełmie. Zamiast paszportu – opaska taktyczna. Zamiast marzeń – regulamin.

ROBERT JARUGA

PS Szanowny kolego redaktorze, Eryku Mistewicz, prezesie Fundacji Instytut Nowych Mediów, wydawco portalu „Wszystko co najważniejsze". Pamiętam Cię jako pacyfistę nałogowego, co to prowadził krucjatę przeciwko zabawkom militarnym. Widziałem, jak w sklepie z zabawkami podchodziłeś do matek i z troską katechety od edukacji pokojowej tłumaczyłeś, że pistolet na wodę roznieca skłonności mordercze, a karabin z plastiku budzi w dziecku Pol Pota w rozmiarze XS. Byłeś jak Greenpeace do spraw kałasznikowa z pianki.

Co się z Tobą stało, Eryku? Czyżby paczka od premiera, nawet jeśli nie z kokardą, to z przelewem, okazała się cięższa niż Twoje przekonania? A może przeszedłeś na filozofię „przecież każdy musi umrzeć", więc czemu nie z hymnem w tle? Rozumiem ewolucję, ale Ty zrobiłeś skok z Gołębicy Pokoju na Drona Narracji.

Nie wciskaj mi, że hełm na głowie myśli lepiej, a bagnet poprawia dykcję. Kiedyś ostrzegałeś przed „straszną kulturą przemocy", dziś produkcja grozy idzie u Ciebie w gigabajtach.

Wróć na zdrowy szlak, Eryku! Nie przykładaj ręki do tego szaleństwa: ręka się przyzwyczaja, potem reszta idzie sama. Pamiętasz, jak mówiłeś, że najpierw strzela się z argumentów, a na końcu z kapiszonów? Zostań przy argumentach. Kapiszony daj chłopcom z resortu snów o wielkości.

W klęku z lęku

Deklaracja podziwu i przyjaźni dla Donalda T.

Sto lat temu Polska klękała z wdzięczności. Dziś z przyzwyczajenia. Pomysł z Łodzi: napiszmy do Ameryki list miłosny. Najlepiej po angielsku, żeby kompleksy brzmiały światowo.

Łodzianin Jakub Hubert postanowił uruchomić wielką narodową akcję dziękczynną. Chce, żebyśmy po 100 latach znów podpisali „Deklarację Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych". Tak jak w 1926 r., kiedy Polska, ledwo wstawszy z kolan po zaborach, z rozpędu padła na nie ponownie – tym razem z wdzięczności i inicjatywy własnej.

Pan Jakub twierdzi, że pomysł wziął się z rodzinnych badań. Szukał babci, a znalazł serwilizm. Odkrył, że jego przodkowie podpisali się pod tamtą deklaracją, więc teraz chciałby, by zrobiła to cała Polska – znowu. Tyle że dziś nie chodzi już o podziękowanie za mąkę z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, tylko za to, że Stany Zjednoczone wciąż istnieją i od czasu do czasu łaskawie przypomną sobie o naszym istnieniu.

– To mogłoby zjednoczyć Polaków – mówi pomysłodawca. Pewnie tak. Nic nas tak nie jednoczy jak wspólne klękanie. Lewica, prawica, katolicy i ateiści – wszyscy razem pod transparentem: „Thank you, Uncle Sam, że wciąż trzymasz nas w swojej orbicie". Podsuwamy minister Nowackiej wersje dla szkół: dzieci rysują flagę USA pastelami i podpisują się pod zdaniem: „będziemy grzeczni, prosimy tylko nie cofać gwarancji bezpieczeństwa". Dla zaawansowanych – malowanie rakiet średniego zasięgu ziemia-powietrze.

Eksperci robią poważne miny i ostrzegają: ton „dziękczynny" stawia Polskę w roli uległego wasala. Sugerują więc zmianę słowa na „szacunek", żeby było nowocześniej i mniej klęcząco. Jeden dodaje nawet, że taka inicjatywa mogłaby przypaść do gustu Donaldowi Trumpowi – bo nic tak nie rozgrzewa ego prezydenta USA jak miliony ludzi z grzecznościowym uśmiechem wypełniających jednobrzmiące formularze „kochamy cię, Uncle Sam". Sprawdzone ostatnio w Izraelu.

Pan Jakub wysyła maile do Tuska, Hołowni, Kidawy-Błońskiej i Nawrockiego, prosząc ich o podjęcie się organizacji tej „wzniosłej" akcji. Jakby w kraju brakowało im innych zajęć. Ale kto wie – może w Polsce, gdzie politycy nie potrafią dogadać się w sprawie niczego, uda się wreszcie zjednoczyć przy temacie, który naprawdę łączy wszystkich: kto najlepiej wygląda, gdy klęka z wdzięcznością. To wszystko w czasach, gdy byle pierdnięcie Trumpa powoduje panikę polskiej opinii publicznej – czy aby Amerykanie nie wycofają się z naszej „strefy bezpieczeństwa". Bo przecież Polska wciąż nie nauczyła się samodzielnie budować państwa, a każdy krok w kierunku niezależności traktowany jest jak bluźnierstwo wobec wielkiego sojusznika.

Wystarczy mrugnięcie oka prezydenta USA, a w Warszawie od razu słychać alarmy: czy na pewno mamy wystarczająco dużo rakiet i amerykańskich czołgów? Czy podpisaliśmy wszystkie deklaracje wdzięczności? Czy o nas nie zapomnieli?

Ministerstwa zapewne już przygotowują „instrukcje klękowe": jak głęboko pochylić się w stronę ambasady, jakie słowa wymawiać, aby nie urazić sojusznika, oraz w jakiej kolejności ustawiać flagi. W sejmie przegłosuje się wprowadzenie „narodowego dnia klękania" – obowiązkowego w szkołach, urzędach i mediach publicznych.

Media będą bić rekordy, publikując poradniki „najładniejszej pozycji kolanowej", a influencerzy wrzucać zdjęcia podpisane: „Niepodległość? Kochamy ją… pod nadzorem sojuszników". Dzieci w szkołach kolorują rakiety i serduszka z amerykańskimi flagami, a nauczyciele dokładnie tłumaczą, że jeśli Polska nie potrafi samodzielnie zadbać o bezpieczeństwo, najlepiej przynajmniej wyglądać ulegle, ale i fotogenicznie.

I tak naród klęka – nie z wdzięczności, nie z patriotyzmu, lecz z lęku, że bez opieki zza oceanu Polska stanie się jak dziecko pozostawione samo sobie w piaskownicy historii.

DAMIAN DUSZCZENKO

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Słuszny terroryzm

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Chcesz być bezkarny, schowaj się w Polsce

Niemiecki prokurator federalny wydał europejski nakaz aresztowania wobec obywatela Ukrainy podejrzanego o uszkodzenie gazociągu Nord Stream. Polski sąd go, owszem, aresztował – a następnie doszedł do wniosku, że w Polsce ENA nie obowiązuje.

Sąd jak Tusk

Najpierw w sprawie wypowiedział się premier Donald Tusk, który ogłosił, że podejrzanego nie należy odsyłać do Niemiec. Sędzia Dariusz Łubowski poszedł po linii Tuska i 10 dni później orzekł, że nie wyda Niemcom ukraińskiego obywatela Wołodymyra Żurawlewa, albowiem strona niemiecka przesłała zbyt ogólne informacje co do zarzutów.

Bez znajomości akt nie sposób ocenić ani ogólności, ani szczegółowości niemieckiego wniosku. Wiemy natomiast, że w sprawie innego obywatela Ukrainy, zatrzymanego pod tym samym zarzutem we Włoszech, niemiecka prokuratura przedstawiła dość dokładny opis wydarzenia z 26 września 2022 r., kiedy doszło do uszkodzenia gazociągu: kilkuosobowa grupa nurków, do której prawdopodobnie należał Żurawlew, działając na głębokości ok. 80 metrów na dnie Bałtyku, przyczepiła do nitek gazociągu co najmniej cztery ładunki wybuchowe. Akcja była nielegalna od początku – jej uczestnicy wynajęli jacht na podstawie fałszywych dokumentów.

Czy informacje te zostały przekazane stronie polskiej? Nie wiem, ale znając niemiecką skrupulatność, trudno w to wątpić. Istota sprawy leży jednak gdzie indziej: bez względu na szczegółowość wniosku, jaki Niemcy przesłali do Polski, to właśnie niemiecki sąd powinien rozpatrzyć tę sprawę, ponieważ dotyczy ona niemieckiego, a nie polskiego mienia.

Broniący Ukraińca adwokat Tymoteusz Paprocki przekonywał, że Żurawlewa nie należy wydawać, albowiem nie można mieć pewności, czy w Niemczech czekałby go sprawiedliwy proces – najwyraźniej myląc RFN z USA. Zdaniem mec. Paprockiego sądownictwo niemieckie nie jest niezależne, a sędziowie nie mają immunitetu. Adwokat nie przytoczył przykładów świadczących o braku niezależności niemieckich sądów, a w kwestii immunitetu po prostu minął się z prawdą. Niemieccy sędziowie są bowiem chronieni przed pociągnięciem do odpowiedzialności karnej bez zgody sądu dyscyplinarnego. Co oznacza, że pan mecenas albo nie wie, co mówi, albo świadomie mówi nieprawdę.

Wnioski i konsekwencje

Mec. Paprocki przekonuje też, że żaden obywatel Ukrainy nie może być ścigany ani skazany na terenie Unii Europejskiej za działania wymierzone przeciwko Rosji. Rzecz w tym, że to nie Rosja, a Niemcy go ścigają. I konsekwencje decyzji sądu mogą być daleko idące: sądy europejskie – zwłaszcza niemieckie – mają teraz powód do odrzucania polskich ENA.

Poza tym – co zauważył węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó –

decyzja Polski oznacza „wstępne przyzwolenie na dokonywanie aktów terrorystycznych w Europie". Jak do tej pory Polska akceptuje takie akty, gdy dotyczą one w jakiś sposób Rosji.

Tak mniej więcej brzmi oficjalne stanowisko polskiego rządu. Premier Tusk oświadczył, że „problemem nie jest to, że gazociąg został wysadzony, ale że został zbudowany przeciw żywotnym interesom Europy", niejako usprawiedliwiając uszkodzenie gazowej rury. Nawiasem mówiąc, inkryminowany rurociąg nie transportuje gazu z jednego końca Rosji do drugiego, lecz przesyła go do Niemiec – który to kraj zdecydowanie znajduje się w Europie.

Na portalu X premier pochwalił sąd okręgowy i wyraził dyspozycję wobec prokuratury: „I słusznie. Sprawa zamknięta". Trudno się zatem dziwić, że chwilę później prokuratura – w osobie prokuratora generalnego będącego członkiem rządu, min. Żurka – ogłosiła, że „strona polska" nie zamierza składać odwołania od decyzji sędziego Łubowskiego. Odwrotnie jest we Włoszech, gdzie po odrzuceniu przez sąd wniosku o ekstradycję sprawę skierowano do ponownego rozpatrzenia. I ktoś tu mówił o braku niezależności wymiaru sprawiedliwości w Niemczech?

Mało skuteczna pokazówka

Nawiasem mówiąc, wysadzenie bałtyckiego rurociągu miało wymiar bardziej propagandowy niż praktyczny. Nord Stream 2, na którego budowę przeznaczono 9,5 mld euro, nigdy nie został uruchomiony. Był wprawdzie gotowy do eksploatacji od września 2021 r., jednak późniejsze wydarzenia to uniemożliwiły. W tydzień po tym jak – 15 lutego 2022 r. – rosyjska Duma podjęła uchwałę o uznaniu Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej, ówczesny niemiecki kanclerz Olaf Scholz zawiesił certyfikację Nord Stream 2. Po rozpoczęciu rosyjskiej ofensywy na Ukrainę operator gazociągu – spółka Nord Stream 2 AG – ostatecznie zakończyła działalność. Kanclerz Friedrich Merz deklaruje, że jego rząd nie jest zainteresowany reaktywacją Nord Stream 2, a jednocześnie Gazprom mocno ograniczył dostawy gazu poprzez Nord Stream 1. W sumie – atak na Nord Stream nie miał istotnego wpływu na zasilanie Europy rosyjskim gazem; był raczej propagandowym gestem skierowanym przeciwko Rosji.

Tym bardziej że Europa konsekwentnie odchodzi od importu rosyjskiego gazu, zastępując go paliwem z USA, Kataru, Norwegii czy Azerbejdżanu. 20 października ministrowie energii państw UE zdecydowali o całkowitym zakazie importu rosyjskiego gazu; wszystkie wyjątki przestaną obowiązywać z początkiem 2028 r.

Tyle, jeśli chodzi o Unię – a Rosja i bez UE, i bez wysadzania rurociągów jakoś sobie poradzi, sprzedając gaz innym krajom. Zwłaszcza Chinom – czego dowodem jest podpisanie 2 września memorandum o budowie gazociągu Siła Syberii 2 mającego przesyłać do Chin i Mongolii od 38 do 44 mld m. sześc. gazu rocznie.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Nowe dzieło Bertolda Kittela

O Nawrockim bez Nawrockiego

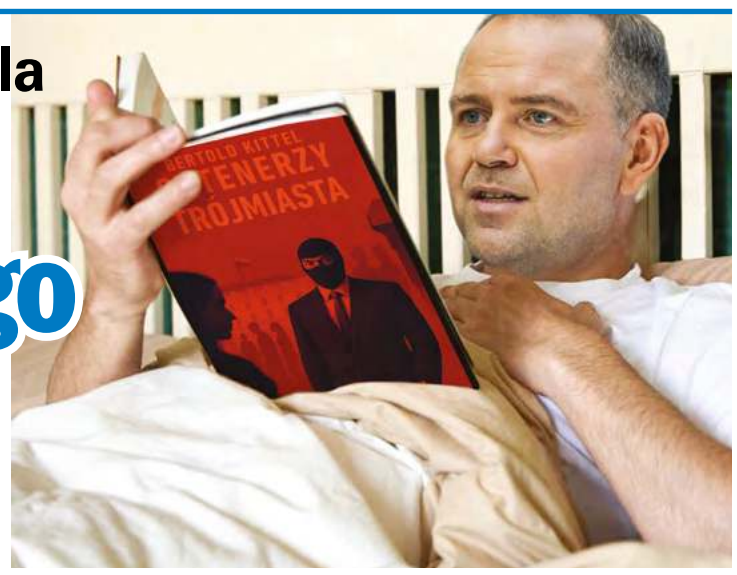

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pod koniec września Bertold Kittel z dumą ogłosił wydanie swojej nowej książki zatytułowanej „Sutenerzy Trójmiasta". W razie, gdyby ktoś nie chwycił, dlaczego dziś warto pisać (i czytać) o historii gdańskich i sopockich burdeli sprzed paru dekad – wystarczy rzucić okiem na okładkę. Z ubranym w garnitur i kominiarkę typem o oczach Nawrockiego na pierwszym planie i, dla pełnej jasności, z konturami kobiecych sylwetek i pałacem prezydenckim w tle.

„Podpisane książki trafiły już do wszystkich, którzy zamówili je w przedsprzedaży" – chwalił się Kittel. „To było pracowite i wyczerpujące kilka miesięcy. Proces powstawania książki był naprawdę błyskawiczny. Nad tekstem pracowali najlepsi w branży redakcyjnej i korekcyjnej. Dziękuję wszystkim zaangażowanym w tworzenie tej książki. Moim zdaniem efekt jest znakomity".

Otóż nie, samizdat Kittela znakomity nie jest. I nic nie pomoże sugerujący rysunek i zaczepny komunikat „Tylko dla dorosłych" na czerwono-czarnej okładce. W tej, skądinąd poprawnie napisanej, opowieści

Karol Nawrocki, z imienia i nazwiska pojawia się dopiero na stronie 159. Poprzedza go historia pewnego słynnego burdelu, szczegółowo opisane są losy jego właścicielek i właścicieli, karków w ochronie oraz pań do towarzystwa,

z których część z tego sposobu na życie jakoś się tam wymiksowała i założyła przykładne rodziny.

Pierwszą i tak naprawdę jedyną gwiazdą opowieści Kittela jest Olgierd L., zwany „Olgierdem" lub „Olem". To ten, który według śledczych w 2009 r. zza krat więzienia miał – jako inicjator – stać za zabójstwem Daniela Z., ps. „Zachar": niekwestionowanego gangsterskiego króla Trójmiasta, wcześniej będącego ochroniarzem słynnego, również zamordowanego „Nikosia".

„Olo" i jego ludzie mieli przejąć po Zacharze większość tamtejszych burdeli i handel narkotykami. Redaktor Kittel próbuje go subtelnie, ale mało skutecznie wiązać z Nawrockim, który w tym czasie pracuje w miejscowym oddziale IPN i poza „ustawkami", mozolnie, krok po kroku, dystansuje się od środowiska, w którym od dziecka dorastał i które mu ciągle trochę imponuje.

Całkiem go więc nie porzuca, bo po dojściu PiS w 2015 r. do władzy utylitarnie wykorzystuje „Ola" i jemu podobnych w rodzącym się kulcie żołnierzy wyklętych. Pytanie, kto kogo w tym kontekście wydymał, pozostaje otwarte.

I co najważniejsze, w rozmowach autora książki z prokuratorami i funkcjonariuszami policji ani w samych aktach spraw, które Kittel pilnie studiował, Nawrocki ani razu się nie pojawia.

Słabością publikacji Kittela, mimo ciekawej faktografii procesowej ze zdjęciami włącznie, jest też brak rozmów z trójmiejskimi gangsterami. „Weź, spierdalaj ode mnie" rzucone do niego trudno bowiem uznać za przykład takiego dialogu.

JMP

Bertold Kittel, „Sutenerzy Trójmiasta", 2025, samizdat, nakład nieujawniony.

SŁOWO CZERWONE

Cała władza w ręce ludzi

Walka klas trwa

Kto nami rządzi? Tusk? Nawrocki? Niekoniecznie. Politycy są tylko lokajami na usługach kapitału. To lobbyści reprezentujący interesy, biznes wyznaczają politykę państwa. Czy rządzi PiS, czy PO – nie da się w Polsce zbudować dużej ilości potrzebnych mieszkań społecznych, bo to doprowadziłoby do spadku cen nieruchomości, a zatem zmniejszyło zyski deweloperów i banków.

Kiedy się jest na garnuszku prywatnych konsorcjów medycznych, trudno zatkać dziurę budżetową w służbie zdrowia. System podatkowy nie może być progresywny, bo ludzie, którzy by na tym stracili, rządzą krajem, znajdują się w bezpośrednim otoczeniu premiera i prezydenta.

Gdyby płace rosły w takim tempie jak dochód narodowy, ludzie w negocjacjach z pracodawcą nie byliby na przegranej pozycji. A dziś trudno spotkać pracownika z podniesioną głową. Panuje totalne zastraszenie i poniżenie. Właściciel firmy jest panem i władcą swych podwładnych, którzy prawie się nie buntują, choć poddawani są nie tylko wyzyskowi, ale i wielkiemu poniżeniu znanemu jako mobbing.

W języku mediów to biznes rozwija gospodarkę, która rośnie jak szalona. O udziale pracowników prawie się nie wspomina. Bo to przedsiębiorcy są solą ziemi i o nich troszczy się w pierwszym rzędzie władza, gdy nadchodzi zaraza, wojna czy powódź.

Gdyby piorun raził wszystkich pracodawców – kraj by nadal istniał i produkował. Ludzie robiliby po prostu to, co zwykle. Gdyby jednak jakiś dyktator w stylu Trumpa wyekspediował lud roboczy za granicę – kraj by stanął.

Wszystko, co jest, istnieje dzięki pracy. Sam kapitał niczego nie wytwarza. To dlaczego w radzie gminy, sejmie, sejmiku wojewódzkim nie zasiada żaden murarz, rolnik, kierowca czy budowniczy? Przecież teoretycznie władza stanowi przepisy, które decydują o podziale wspólnie wytworzonego dochodu. To dlaczego ci, którzy ten dochód tworzą, nie mają wpływu na podział tego, co wytworzyli? Dlaczego większość – ta pracująca większość Polaków – nie ma w Polsce nic do gadania? Może najwyżej wybierać tych, którzy ich znowu będą gnębić. Niesprawiedliwym budżetem, w którym nie będzie na ich leczenie, na mieszkania na każdą kieszeń, na naukę, na wspieranie studiującej młodzieży, na walkę ze skrajnym ubóstwem dotyczącym 2,5 mln Polaków.

System, w którym rządzą pieniądze, a nie ludzie, to nie demokracja, tylko oligarchia. Gospodarka powinna służyć do zaspokajania potrzeb społecznych. Ale służy pomnażaniu zysków przez wąskie elity. Dlaczego ta niesprawiedliwość trwa? Bo mimo że formalnie cenzury nie ma, właściciele mediów i politycy kierujący mediami publicznymi dbają o to, by taka dyskusja na ten temat była niewyobrażalna.

Bieda nie bierze się z lenistwa, tylko z niskich płac, wyzysku, prekaryjnych form zatrudnienia – i tego, że z rosnącego bochna ci na górze biorą sobie za dużo i dla tych na dole niewiele zostaje. Bo to ci na górze decydują, jaki jest podział.

Niesprawiedliwy podział dochodu przekłada się na wielkie rozwarstwienie. Jego zbadaniem zajął się Thomas Piketty i jego zespół. Z ich badań wynika, że rozwarstwienie w Polsce jest największe w Unii Europejskiej. 10 proc. najbogatszych ma majątek odpowiadający 60 proc. majątku narodowego, a 50 proc. najbiedniejszych zarabia odpowiednik 20 proc. PKB. I mimo że nikt nie zakwestionował wyników tych badań merytorycznie – elitom udało się je zataić przed szerszą opinią publiczną. Sposób jest prosty i znany. Nie publikować, ignorować, obśmiewać, kwitować wzruszeniem ramion. Zastępować ważne fakty ekonomiczne i społeczne papką informacyjną, kłótniami politycznych i biznesowych luminarzy.

Najbardziej bezczelne kłamstwa polityków pozostają bez komentarza. A kiedy ktoś chce kłamcy zadać kłam – pojawiają się politycy i dziennikarze, którzy go po prostu zagadują, zagłuszają, a kiedy zniecierpliwiony podniesie głos, robią z niego oszołoma.

Niedawno spotkałem byłego posła Gabriela Janowskiego, który zasłynął obroną polskiego cukru, ale został wykończony za pomocą podrzucenia mu psychotropów, po których zachowywał się jak pajac. Już nikt nie pamięta, że w sprawie cukru Janowski miał rację, podobnie jak wyśmiewany Lepper w sprawie talibów w Klewkach.

Gdyby zwykli ludzie – a nie wysługujący się biznesowi szubrawcy – rządzili krajem, to nie podejmowaliby decyzji, które uniemożliwiają zaspokajanie ich podstawowych potrzeb.

Państwo jest komitetem wykonawczym interesów już nie burżuazji – jak chciał Marks – tylko biznesu. Żeby ten stan rzeczy zmienić, nie wystarczą reformy, potrzebne jest polityczne upodmiotowienie świata pracy. Walka klas nie zniknęła. Problem w tym, że bogacze mają rozwiniętą świadomość klasową, a pracownicy – nie. Jest to więc walka jednostronna. Tych na górze z tymi na dole.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Miałem sen. Polska znowu była pod okupacją.

Pierwsza Japonia

Ujrzeć Japonię od dawna chciałem. Bo wcześniej wiele razy byłem w sąsiednich Chinach, Wietnamie, bywałem też w Korei Południowej i Północnej, Kambodży, Singapurze, Tajlandii, Tajwanie.

Poza tym, jak każdy młody inteligent z czasów Polski Ludowej, fascynowałem się filmami Kurosawy, pisarstwem Yukio Mishimy, drzeworytami ukiyo-e, myśliwcami A6M Zero, gejszami i kodeksem bushidō.

Dodatkowo każdego cudzoziemca zwą w Japonii po japońsku *gaijin*, wymawiając to „gajdzin". Prawie jak Gadzinowski.

A Romowie na cudzoziemców mówią „Gadzio". Czyli prawie jak Japończycy.

Słowo *gaijin* łączy w jednym inne popularne tam określenia cudzoziemców. Czyli południowi barbarzyńcy, długie nosy, włochate potwory.

Prawdziwi patriotyczni Japończycy uważają, że Japończycy są najmądrzejsi i najpiękniejsi, a stworzona przez nich cywilizacja przoduje na świecie. Nic dziwnego, że za cudzoziemcami nie przepadają. Choć nie wyrażają wobec nich swej niechęci tak jawnie i ekspresyjnie jak pan Robert Bąkiewicz, aktualny pupil pana prezesa Kaczyńskiego. Taki prawie Japończyk.

Nic dziwnego też, że różni gaijini bywają wobec Japończyków złośliwi. Jak choćby profesor Jonathan Clements, który w „Historii Japonii" sugerował, że obecni Japończycy to potomkowie aktywności rozrodczej prakoreańczyków napierających na wyspy od ich półwyspu i – z drugiej strony – pra-Ajnów, czyli takich pra-Czukczów.

Trzeba przypomnieć, że kulturę Ajnów ocalił od zapomnienia wielce znany w Japonii Bronisław Piłsudski, starszy brat lepiej znanego w Polsce Józefa.

W 1887 r. Bronisław brał udział w przygotowywanym przez narodowców zamachu na rosyjskiego cara Aleksandra III. Liderem zamachowców był Aleksander Uljanow, starszy brat Włodzimierza. Dobrze znanego w Polsce pod nazwiskiem Lenin. Starszy Uljanow został powieszony, co wywołało traumę u młodszego. Starszemu Piłsudskiemu wyrok śmierci zamieniono na zesłanie na Sachalin, rzut beretem od Wysp Japońskich. Tam osiedlił się wśród Ajnów i został światowej sławy etnografem. Do dziś żyją jego potomkowie. Japończycy pochodzenia ajno-polskiego. Tacy półgaijini.

Wieczni udoskonalacze

Sąsiadujący z Japonią Chińczycy swych wyspiarskich sąsiadów zwą pieszczotliwie „karzełkami z gór". A ściślej: „kurduplami z wioch".

Prawdziwi chińscy patrioci uważają, że Japończycy niczego nie wymyślili. Bo wszystko, co najlepsze – konfucjanizm, pismo, uprawę herbaty i ryżu, drzewka bonsai – papugowali od Chińczyków.

Ale potem to starannie japonizowali. Doprowadzając do perfekcyjnej doskonałości.

Japoński ceremoniał parzenia herbaty jest dłuższy i bardziej sformalizowany od chińskiego. Chińskiego ceremoniału można się łatwo nauczyć w ciągu dwóch–trzech lat. Japoński trzeba wkuwać przynajmniej cztery lata. Oczywiście pod warunkiem, że wkuwa się go codziennie, nawet w wolne dla gaijina weekendy. Poświęcając na sen maksymalnie trzy godziny na dobę.

Kiedyś toalety w Japonii zwano *kawaya*, czyli domek nad rzeką. Były to takie nasze sławojki, tylko budowane w strumieniach, bo tych tam nie brakuje. Po przegranej II wojnie światowej okupujące Japonię amerykańskie wojska pokazały miejscowym największe zdobycze ich cywilizacji: hot dogi, mielonki wieprzowe w puszkach i sedesy.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cymesy amerykańskiej kuchni Japończycy udoskonalili, czyli dosłodzili je dla lepszego smaku. Podobnie jak zapożyczone ziemniaki, niemieckie tłuste kiełbasy i każde zaimportowane żarcie. A sedesy, nazwane tam washlet, doprowadzili do technicznej doskonałości.

Dziś każdy prawdziwy japoński patriota ma w domu sedes z elektroniczną konsoletą. Migocącą kolorowymi światełkami przeróżnych przycisków.

Dzięki nim możemy się na nim nie tylko wysikać i wykupkować. Taka toaleta może, jak bidet, podmywać tyłki. Może też wyemitować zagłuszającą sikanie muzyczkę. Od śpiewu słowików po hard metal.

Siedząc na tym sedesie, możemy też zmierzyć sobie tętno. Specjalny elektroniczny impuls oceni stan naszej tkanki tłuszczowej, niemile widzianej w obecnej Japonii. Dzięki specjalnej łyżeczce szybko zbadamy sobie poziom cukru i krwinek w oddawanym właśnie moczu. Wyniki są honorowane przez wszystkich lekarzy.

Każdy sedes ma podgrzewaną deskę. Tym najbardziej wypasionym można wydawać polecania także głosem. Potrafią one opowiadać dowcipy, co dobre jest ponoć w czasie nagłego zaparcia.

Ponieważ te elektroniczne panele z przyciskami mają opisy jedynie po japońsku, to korzystanie z nich przypomina loterię. Chcemy muzyczki, a dostajemy bicz wodny. Dobrze kiedy na goły tyłek, a nie na zaciekawioną twarz pochyloną nad wieloguzikową konsoletą.

Nic dziwnego, że strach przed nieprzewidywalnym sedesem powoduje wśród gaijinów traumy, lęk przed korzystaniem z nich i nierzadko wielotygodniowe zaparcia.

Jednocześnie japońskie toalety są sterylnie czyste, można tam skrycie podjadać bez obawy przed infekcją. Często bywają jedynym miejscem w japońskich mieszkaniach, gdzie można się delektować intymną samotnością. Polecam je na dłuższe posiedzenia – zwłaszcza te wyposażone w gazety i półeczki z książkami.

Japońskich mieszkań nawet wrogom nie polecam. Zwłaszcza tych oferowanych w centrach wielkich miast. Wiele z nich to apartamenty o powierzchni 14–18 metrów kwadratowych. Tam wszystko jest naszą patodeweloperką.

Druga Japonia

Starsi Czytelnicy pamiętają jeszcze obietnicę złożoną przez pana prezydenta Wałęsę: że zrobi w Polsce „drugą Japonię".

Podziękujcie Bogu, że Lechu tej obietnicy też nie dotrzymał.

Nie wyobrażacie sobie, jakich cierpień doznawaliby Polacy – zwłaszcza ci prawdziwi – gdyby nasze polskie życie zostałoby zjaponizowane. A taki sen o japońskiej okupacji Polski tam miałem.

Zacznijmy od japońskiej szkoły. Do niej wszystkie dzieci obowiązkowo wkładają mundurki. Zunifikowane. Noszą też takie same teczki.

To nie jest jeszcze takie straszne dla mentalności wielkiego, zindywidualizowanego narodu polskiego. Zwłaszcza że mundurki i teczki są dobrze wykonane i gustownie skrojone. Te dla dziewczynek, przypominające marynarskie ubranka, są na europejskie gusta także seksowne. Wielkie byłoby to wyzwanie dla polskich księży pedofilów.

W szkołach japońskich, podobnie jak w toaletach, jest przeraźliwie czysto. Chociaż nie zatrudnia się tam pań i panów do sprzątania. Nie potrzeba ich, bo zwyczajowo codziennie po lekcjach wszystkie dzieci i nauczyciele sprzątają po sobie całą szkołę. Wedle ustalonego, precyzyjnego grafika. Dzisiaj nasza klasa czyści wyznaczone pomieszczenia lekcyjne, jutro toalety, pojutrze korytarze albo sale gimnastyczne.

To sprawia, że dzieci i nauczyciele starają się pomieszczeń szkolnych nie zaświnić. A nieliczne, notoryczne brudasy są totalnie piętnowane i nierzadko kończą w znanym w tym kraju „Lesie samobójców" sąsiadującym z świętą górą Fudżi. Zwaną jamą, dla zmylenia gaijinów.

Czy wyobrażacie sobie, że polscy rodzice, polskie dzieci i polscy nauczyciele zaakceptowaliby takie codzienne sprzątanie?

Muszę przypomnieć, że japońskie dzieci poza sprzątaniem uczą się jeszcze przez przynajmniej 18 godzin na dobę. Często także w soboty i niedziele, choć niedawno wprowadzone przepisy ograniczają takie praktyki.

Podobnych praktyk sprzątania oczekuje się od gości w hotelach. Od gaijinów też. Pokoje hotelowe trzeba pozostawić przynajmniej tak czyste, jak się je zastało. Na szczęście zwykle są one dwa razy mniejsze od wspomnianych apartamentów. Duże są tylko sedesy.

W Polsce zaczyna się debata o systemie zwrotu butelek. W japońskich hotelowych pokojach nie wolno pozostawić zużytych butelek i puszek po napojach. Wszystkie trzeba wrzucić do specjalnie oznakowanych pojemników. Puszki do puszek, butelki do butelek. Przyłapanemu na pomyłce gaijinowi grozi poszturchiwanie i zimny opierdol od prawdziwych Japończyków. Muszę dodać, że śmieci nie da się upchnąć do napotkanego ulicznego kosza na śmieci, bo takich tam nie ma.

Pomimo tego ulice są czyściutkie jak sedesy. Bo każdy prawdziwy Japończyk swoje śmieci zabiera do swojego miejsca zamieszkania i tam segreguje je wedle instrukcji w swoim śmietniku.

W Polsce debatuje się o budowie szybkich kolei. W Japonii już w latach 60. stworzono sieć takich shinkansenów. Punktualnych jak szwajcarskie zegarki i prawie bezwypadkowych.

Ale aby z takiego skorzystać, trzeba nie tylko ustawić się w ściśle określonym miejscu. Często postój takiego pociągu trwa 40 sekund. I nie więcej. Jeśli nie zdążyłeś wsiąść lub wysiąść, musisz czekać na kolejny lub jechać stację dalej. Ponieważ te pociągi nie zatrzymują się w każdym miasteczku – jak chcą w Polsce patriotyczni parlamentarzyści – to na nieuwadze sporo czasu stracisz. W obu wypadkach musisz kupić dodatkowy bilet. Nie ma tłumaczenia, że pociąg za szybko odjechał.

Po II wojnie światowej amerykańscy generałowie narzucili pokonanej Japonii demokratycznie brzmiącą konstytucję. Japończycy zjaponizowali ją w praktyce i stworzyli demokratyczne wybory w totalitarnym, samokontrolującym się społeczeństwie.

Akceptowanym powszechnie.

Dowiedli w praktyce, że może istnieć wielce efektywny wielki obóz nauki i pracy ubrany demokratyczną szatą.

PIOTR GADZINOWSKI

Święty Charlie zza wielkiej wody

McCarthy wiecznie żywy

W połowie ubiegłego wieku republikański senator zdominował amerykański klimat polityczny techniką, która doczekała się nawet nazwy zrodzonej z jego nazwiska. Joe McCarthy rozpętał kampanię antykomunistyczną opartą na koktajlu ciężkiego kalibru kłamstw i oszczerstw, które systematycznie wywracały życie publiczne do góry dupą, lecz nim zostały zweryfikowane, McCarthy atakował kolejne cele, dzięki czemu nikt nie zwracał uwagi na sprostowania, bo w obiegu były kolejne wyssane z okolic okrężnicy dyrdymały.

W 1950 r. McCarthy chwalił się, że posiada listę 205 (później liczba zmieniała się np. na 57 lub 81) szpiegów ZSRR i członków partii komunistycznej zatrudnionych w Departamencie Stanu. O to samo oskarżał wojskowych, artystów i naukowców. Nigdy nie przedstawił dowodów na poparcie pomówień. Chociaż senator finalnie zaliczył polityczną klęskę, jego metodyka stała się Świętym Graalem prawicowej manipulacji. Spin przekształcił się w narrację, która oczerniała przeciwników jako antyamerykańskich, a następnie w próbę skonstruowania fikcyjnego świata, który można urzeczywistnić, o ile uda się przekonać wyborców, by w niego uwierzyli.

Zabójstwo Charliego Kirka pokazało, że kapłani współczesnego maccartyzmu mają szansę zajść znacznie dalej niż ich protoplasta.

Missisipi fejków

10 września jeden ultrakonserwatywny, prawicowy, biały, chrześcijański entuzjasta broni palnej i zawodowy siewca nienawiści (taki amerykański Matecki) został wyekspediowany do domu Pana przy pomocy karabinu z lunetą w rękach innego białego, prawicowego, chrześcijańskiego fana pukawek. Radykalna prawica z miejsca zaczęła pracować nad zniekształceniem zrozumienia obywateli USA na temat tego, co się wydarzyło.

Zanim pojawiły się jakiekolwiek informacje o tym, kim był sprawca, Trump i prominentni konserwatyści uszyli narrację, że to lewacy, demokraci lub po prostu „oni" dokonali zamachu na Kirka. Jak można się było spodziewać, spin zassał idealnie i konserwatywno-brunatne wyskrobki zdążyły po tysiąckroć zdefekować w internecie oskarżeniami i kłamstwami pod adresem kobiet, imigrantów, środowiska LGBTQ+ i lewicy, wzywając do wojen domowych i pogromów.

Populistyczny ściek rasizmu, ksenofobii, teorii spiskowych i agresji popłynął wartkim strumieniem i w kraju nad Wisłą.

Maciej Świrski porównał Charliego Kirka do ks. Jerzego Popiełuszki, a Karina Bosak wspomniała, że błogosławiony, pardon, zamordowany całe życie walczył z lewicowym szaleństwem niszczącym umysł młodych Amerykanów, bo lewicowe ideologie to zło, a ich fanatycy chcą zastraszać i zabijać. Dla podbicia tezy przypomniała ataki na kościoły i bogobojnych podczas Czarnych Marszy (sic!). Naturalnie dla zdrowia psychicznego całą tę zerżniętą z Zachodu fanaberię, do której należałoby wezwać co najwyżej karetkę, powinno się olać. Jednak w samych Stanach Zjednoczonych na hałdzie demagogicznego gnoju zakwitł niebezpieczny precedens, którego kalka zaczyna rzutować nie tylko na ojczyznę hamburgera. Zwolennicy MAGA przeszli do realnego ataku na tych, którzy rzekomo świętowali w mediach społecznościowych śmierć Kirka.

Sygnaliści moralności

„W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, jak wielu Amerykanów na stanowiskach władzy – pracownicy opieki nad dziećmi, urzędnicy sądowi, pielęgniarki, nauczyciele, pracownicy rządowi, a nawet pracownicy Departamentu Obrony – zostało głęboko i brutalnie zradykalizowanych. To konsekwencja ogromnego, zorganizowanego ekosystemu indoktrynacji" – napisał w social mediach zastępca szefa personelu Białego Domu Stephen Miller.

O krok dalej poszedł Elon Musk i opublikował arkusz kalkulacyjny z listą „ludzi, którzy mówili podłe rzeczy" o morderstwie Kirka, a nad listą napisał: „To oni zatruwają umysły naszych dzieci", albowiem „jak dotąd nauczyciele i profesorowie są zdecydowanie najbardziej reprezentatywni". W całym kraju ruszyła fala zawieszeń i zwolnień pracowników sektora edukacji, którzy zgrzeszyli odmową wzięcia udziału w hucpie kanonizacji prawicowego ekstremisty. W kampanię podpierdalania „oskarżonych" zaangażowali się prawicowi influencerzy (np. Laura Loomer:

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Na wschodzie bez zmian

Budapeszt na rozstaju dróg

Rys. MARCIN CHUDZIK

Było w tym coś z błyskawicznej partii szachów: kiedy na spotkanie z Trumpem leciał Zełenski, rozkosznie pewien swojego sukcesu w postaci pokaźnej partii rakiet Tomahawk, z inicjatywy Rosji odbyła się rozmowa telefoniczna między Putinem a Trumpem. Trwała dość długo, bo ponad dwie godziny. Z rozmowy tej Trump wyszedł w zmienionym nastroju – w stosunku do Putina i do Zełenskiego. Mówiąc inaczej, Zełenski wylatywał do jednego Trumpa, a lądował u całkiem innego. To oczywiście żadna sensacja, bo Trumpowi zmieniać poglądy to jak mnie plunąć, ale tutaj zmiana ta zaszła w wyjątkowo niekorzystnym dla ukraińskiego polityka momencie. A Rosja odnotowała niewielki, ale jednak sukces w wojnie dyplomatycznej.

Nieugięci, niesłuchani

Partia Tomahawków, które Stany Zjednoczone miały przekazać Ukrainie, nie zmieniłaby może przebiegu wojny, ale wojnę tę uczyniłaby o wiele bardziej krwawą i poszerzyła straty rosyjskie w ludziach i sprzęcie. Z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Problem bowiem polega na tym, że może guzik inicjujący start rakiety naciskałby oficer Myhajło, ale wszystkie dane celów w głębi Rosji i całe przygotowanie pocisku do startu obsługiwaliby oficerowie amerykańscy – tym samym bezpośrednio uczestnicząc w skutkach celnego trafienia. Opowieści, że przez jakiś krótki czas amerykańscy instruktorzy wyszkoliliby ukraińskich kolegów do profesjonalnej obsługi tak skomplikowanej broni, można włożyć między bajki. I z tego zarówno Rosja, jak i USA doskonale zdawały sobie sprawę. Rosja zresztą o tym gromko informowała, zadając retoryczne pytanie, czy Stany Zjednoczone są gotowe zmierzyć się z konsekwencjami polegającymi na raptownym obniżeniu poziomu wzajemnych relacji. Jak się okazuje, nie są gotowe. I to też jest przyczyna rozmowy dwóch prezydentów.

Drugą najważniejszą – obok odmowy wysłania Tomahawków – decyzją podjętą podczas rozmowy dwóch liderów była ta o spotkaniu w Budapeszcie.

Łojezu, co się wtedy odwaliło w mediach tzw. kolektywnego Zachodu i wśród europejskich polityków!

„Czy Budapeszt stanie się nowym centrum geopolitycznego napięcia?" – pytała wstrząśnięta Wirtualna Polska. „Ma się odbyć w Budapeszcie. Pytanie tylko – po co?" – troskał się publicysta „Tygodnika Powszechnego". „Donald Trump groźbami zmusił Putina do spotkania w Budapeszcie?" – sugerowało TOK FM. „Putin kolejny raz rozegra Trumpa?" – alternatywnie sugerował Bartosz T. Wieliński z „Gazety Wyborczej". Po czym, omawiając możliwą niezgodę krajów europejskich na przelot rosyjskiego samolotu, wieszczył, że „Waszyngton będzie naciskać na Europejczyków, by przepuścili rosyjskiego iła, przymykając oczy na list gończy wydany za Putinem przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze". I zagrzewał do walki: „Mam nadzieję, że nawet gdyby do takich nacisków doszło, pozostaniemy nieugięci".

Oficjalni przedstawiciele Unii Europejskiej też nie pozostali w tyle. Kaja Kallas oznajmiła, że „to nieprzyjemne widzieć, że osoba z nakazem aresztowania wydanym przez MTK przyjeżdża do europejskiego kraju", a minister spraw zagranicznych Litwy Kęstutis Budrys rzekł, że „nie ma miejsca dla zbrodniarzy wojennych w Europie". No, nieźle było. Problem w tym, że owe mocne wypowiedzi nie zrobiły żadnego wrażenia ani na Trumpie, ani na jego rosyjskim odpowiedniku. I w ogóle Europa zdała sobie nagle sprawę, że jest olewana przez swego najważniejszego sojusznika, czyli Stany Zjednoczone. Ani ich się nikt nie pytał o zdanie lub zgodę, ani nie konsultował, czy aby Orbán – cierń w dupie zjednoczonej Europy – to jest właściwy gospodarz tak ważnego spotkania. W każdym razie Europę piekła morda po uderzeniu z liścia.

Dyplomacja chomików

Teraz rozpoczęły się nieproste i pełne wiraży przygotowania do spotkania w Budapeszcie, a wszyscy zadają sobie pytanie, co z tego wyjść może.

Najprostsza i najbardziej prawdopodobna odpowiedź brzmi: nic. To znaczy panowie sobie porozmawiają o sprawach ważnych dla obu stron, wśród których sprawa Ukrainy i pokoju w niej będzie tylko jedną z wielu – choć propagandziści obu stron będą nią wymachiwać ze szczególnym zapałem.

Na razie samemu Zełenskiemu i jego europejskim kolegom dano do zrozumienia, że przy stole w Budapeszcie nie zmieści się trzech i więcej gości – bo Kallas żądała dopuszczenia do rozmów Ukrainy i UE. Swego czasu niemiecki europoseł Martin Sonneborn porównał intelekt szefowej unijnej dyplomacji do umysłu chomika. Podobno chomiki wystosowały protest.

W kwestii pokoju na Ukrainie wiele wskazuje na to, że strona rosyjska może nachylić się nad wszystkimi proponowanymi przez USA wariantami, ale na razie dość twardo stoi na stanowisku, że musi osiągnąć swoje cele, zadeklarowane na początku wojny i powtarzane wielokrotnie przez Putina, Ławrowa i innych poważnych polityków rosyjskich. Wśród nich kwestia neutralności – a zatem niezagrażania Rosji ze strony Ukrainy – wydaje się kluczowa. Jeśli nie wszyscy, to znaczna część rosyjskiej klasy rządzącej zdaje sobie sprawę, że zamrożenie konfliktu, pozostawienie nienaruszonej ukraińskiej elity z jej historyczną i polityczną narracją, odwołującą się do skrajnego nacjonalizmu – jest tylko odwleczeniem kolejnego, już dużo bardziej kosztownego konfliktu.

Oczywiście, na stole leży jedna z propozycji Trumpa – by Ukraina oddała cały Donbas w zamian za ziemie innych regionów – która jest pompowana obecnie przez media. Są z nią tylko dwa problemy. Pierwszy to ten, że Rosja nie odpowiada na ten wariant entuzjastycznie, bo oznacza on oddanie rosyjskojęzycznego Charkowa i okolic oraz zatrzymanie nabierającej nagle tempa ofensywy na frontach. Drugi zaś, znacznie poważniejszy, to ten, że Ukraina nie chce o tym słyszeć. Siły tej głuchocie dodaje wsparcie Europy, w tym Polski, jednego z najbardziej wojowniczych krajów na kontynencie. „Ukraińcy nie mogą się po prostu poddać" – zawyrokowała Kallas, a Tusk dodał, że „nikt z nas nie powinien wywierać presji na Wołodymyra Zełenskiego w kwestii ustępstw terytorialnych. Wszyscy powinniśmy naciskać na Rosję, aby zaprzestała agresji. Ustępstwa nigdy nie były drogą do sprawiedliwego i trwałego pokoju".

Problemem Europy w kontekście budapeszteńskiego spotkania jest to, że tak silnie zafiksowała się na „zwycięstwie Ukrainy", że nie potrafi już inaczej patrzeć na ów konflikt i jego możliwe zakończenie. Na dodatek to stanowisko odpowiada interesom różnych europejskich graczy – w tym Wielkiej Brytanii, która próbuje w ten sposób powrócić do głównego unijnego stołu. To też źle wróży pokojowym rozmowom w kształcie zaproponowanym na wejściu przez Stany Zjednoczone.

Jest zatem prawdopodobne, że choć rozmowy przebiegną w przyjacielskiej atmosferze – rozmówcy rozstaną się w przeświadczeniu, że jeśli chodzi o Ukrainę, to niewiele da się zrobić. Przynajmniej na obecnym etapie. Putin powie ustami swoich przedstawicieli, że pracują nad propozycjami amerykańskich kolegów, ale to musi potrwać. Trump zakomunikuje, że ma z Putinem problem, może nawet ogłosi jakieś sankcje – ale nieduże, bo na razie ma problem z Chinami i ich wyzwaniami. Finał będzie taki, że Trump stygnie raptownie w swych uczuciach wobec Ukrainy (jeśli kiedykolwiek je miał) i zgłasza swoje désintéressement, zostawiając Rosji wolną rękę. Oczywiście, jak gdzieś się da ją osłabić, to chętnie, ale bez fanatyzmu.

Wypuśćmy powietrze

Jest też oczywiście drugi wariant: rozmowy w Budapeszcie kończą się sukcesem i Rosja przystaje na amerykańskie propozycje zamrożenia konfliktu na obecnej linii frontu, bierze Donbas, oddaje resztę i następuje ogólna szczęśliwość. Czyżby?

Owszem, można znaleźć kilka argumentów za tym rozwiązaniem. Widoczne w tym roku osłabienie rosyjskiej gospodarki i wynikające z tego zatrzymanie programów społecznych, o czym mówił niedawno szef przeżywającego wielkie trudności Gazpromu. Zauważalne zmęczenie społeczeństwa wojną, w tym zmęczenie żołnierzy na froncie. Rozdrażnienie powolną ofensywą i słabością armii rosyjskiej. Jawna i niemal wszechobecna korupcja w ministerstwie obrony, dopiero dziś ujawniana. No i zniecierpliwienie niemałej części aparatu urzędniczego średniego i wyższego szczebla, zainteresowanego zakończeniem wojny i powrotem dobrych relacji z Zachodem i *business as usual*. Z możliwością odwiedzin swoich latorośli umieszczonych na zachodnich uczelniach, doglądania swych nieruchomości w Europie i na świecie, oraz, rzecz jasna, swobodnego władania kapitałem nagromadzonym w zagranicznych bankach, pochodzącym z łapówek i kantów. To całkiem mocne powody, by myśleć o pokoju na innych niż rosyjskie warunki. Można jeszcze dodać możliwe zmęczenie samego Putina.

Stawiam otóż tezę, że gdyby Putin podpisał taki pokojowy traktat, to jednocześnie podpisałby na siebie wyrok śmierci politycznej. Uważam, że zostałby odsunięty od władzy szybko, na przykład „ze względu na stan zdrowia".

Co byłoby dalej? Jeśli ktoś liczy, że na miejsce Putina przyszedłby ktoś w rodzaju Jelcyna, Zachodowi powolny – to, według mnie, grzeszy nadmiernym optymizmem. Nie to, że takich ludzi nie ma. Są oczywiście, ale myślę, że – jak mówił Chruszczow – „naród by nas nie zrozumiał" i opór byłby znaczący. Do tego oporu dodać należy całkiem pokaźną, potencjalnie wściekłą grupę żołnierzy, powracających z frontu i szukających, zazwyczaj mało skutecznie, swojego miejsca w normalnym życiu. Rozżalonych, że ich ofiara krwi i życia poszła na marne. To bomba z długim lontem.

Ale na miejsce Putina mógłby też przyjść ktoś, na czyim tle Władimir Władimirowicz jawiłby się światu jako przewidywalny, kulturalny i gotów do dialogu polityk światowej klasy. Ktoś, kto wiedziałby, jak wykorzystać – lub wzbudzić – prowojenne, nacjonalistyczne nastroje, dzięki którym kolejki przed punktami werbunkowymi ciągnęłyby się kilometrami. Kto dałby Europie i światu wojnę.

Jednak… Wczoraj rozmawiałem z człowiekiem, który właśnie po raz kolejny jechał na front. Gdy mu rozpostarłem tę drugą wizję, wyśmiał mnie.

– Wypuść powietrze, nic takiego się nie stanie. W Budapeszcie się nie dogadają, a twoje scenariusze też są mało realne. Putin nigdzie nie pójdzie, bo nie ma nikogo na jego miejsce. To znaczy są nazwiska, ale nie ten czas. Gdyby podpisał taki pokój, to po prostu Rosja przestanie istnieć za jakiś czas. Zawali się światu na łeb. Świat tego może nie wytrzymać.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

PS W trakcie pisania tego artykułu sprawy się nieco wyjaśniły: Sergiej Ławrow oznajmił, że „niezwłoczne zawieszenie działań bojowych na Ukrainie oznaczałoby zachowanie nazistowskiego reżimu i zakaz języka rosyjskiego". No to, jak się wydaje, pozamiatane.

„Zniszczę wasze kariery") i strona „Expose Charlie's Murders" z 20 tys. zgłoszeń, wskazujących potencjalnych morderców Charliego. O donoszenie pracodawcom na tych, którzy nie trzymają się partyjnej linii żałobnej na odcinku Charliego, wyrażać także wiceprezydent JD Vance. Jak zauważyła analityczka prawna Asha Rangappa, prawica zmobilizowała nową, tajną policję moralną.

Stephen Miller, odwracając role ofiar i sprawców, nazwał swoich politycznych przeciwników „terrorystami wewnętrznymi" i ostrzegł: „Moc organów ścigania pod przywództwem prezydenta Donalda Trumpa zostanie użyta, by was znaleźć, odebrać wam pieniądze, odebrać wam władzę, a jeśli złamaliście prawo, odebrać wam wolność"…

Made in PL

Polscy patrioci-wolnościowcy w trybie pilnym zachłysnęli się amerykańskim ejakulatem denuncjacji. O przekazaniu Amerykanom listy polskich celebrytów i influencerów, którzy w jakikolwiek sposób wyraziły „poparcie dla politycznego morderstwa, dla lewicowego terroryzmu i ideologicznie motywowanego zabójstwa" Charliego Kirka zapewnił m.in. poseł Dariusz Matecki.

„Pytacie, co sądzę o tym strzale, więc powiem. Otóż jest to człowiek, który wielokrotnie wzywał do przemocy – i przemoc go spotkała, zginął od kuli. Sytuacja polityczna jest podgrzana do granic – sam wiele na tym polu zdziałał – i od kul albo w inny sposób ginie wokół sporo ludzi. Ale on nie jest byle kim, jest ważnym politycznym agitatorem (…). W werbowaniu jest znakomity, jest cenny dla partii, więc od razu po śmierci kierownictwo postanawia zrobić z niego męczennika i świeckiego świętego. Kult wydaje się społeczny, ale jest budowany odgórnie; (…) nie jest bezpiecznie mówić, że nie żałuje się tej śmierci, albo że nie była to jakaś krystaliczna postać, bo partia ma już swoje sposoby, żeby za to ukarać. 23 lutego 1930 roku od kuli zginął Horst Wessel" – przebiegle napisał na FB Jacek Denhel, sugerując, że skojarzenia czołowego ideologa MAGA z autorem hymnu NSDAP zastrzelonym przez komunistę każdy dokonuje na własny rachunek.

Odpowiedział mu zadeklarowany liberał Marcin Matczak: „Wrażliwy literat wyraża intelektualną i moralną zgodę na ostateczną wersję cancel culture – nie ostracyzm, nie zwolnienie z pracy. Na kulę w łeb za poglądy. Nie ma już żadnych granic, prawda?". Polsce nie grozi terror maccartyzmu zza oceanu, on już tu jest i ma się coraz lepiej.

IDALIA DUBICKA

Trumpolandia

18 października 7 mln ludzi wzięło udział w 2700 wiecach i demonstracjach we wszystkich stanach USA. Wspólne hasło protestów – „No kings" – miało głosić, że Trump nie jest królem Ameryki, albowiem „władza należy do ludu". Co skądinąd brzmi nieco ironicznie w kraju, gdzie majątek uboższej połowy społeczeństwa – 170 mln ludzi – to do kupy 4 bln dolków, podczas gdy 905 miliarderów ma prawie 8 bln, a także w zasadzie nieograniczone prawem możliwości kupowania polityków poprzez finansowanie kampanii wyborczych i nie tylko. Ale miło słyszeć, że ta uboższa połowa zaczyna się orientować, że coś jest nie tak, a obsceniczne bogactwo nie jest powodem do podziwu, gdyż nieodmiennie wynika z wyzysku. Zwłaszcza że protesty są pełne wdzięku.

Żeby dać odpór Trumpowej propagandzie przedstawiającej uczestników protestów jako śmiertelnie niebezpiecznych terrorystów, przeciwnicy obecnej władzy nadają swoim imprezom pogodny charakter. Karierę robią nadmuchiwane kostiumy przedstawiające kurczaki, jednorożce, rekiny i – zwłaszcza – żaby. Żaba stała się narodowym bohaterem po wymierzonych przeciwko ICE (to takie antyimigranckie ZOMO) protestach w Portland na początku października. Jeden z demonstrantów, przebrany w radosny, zieloniutki, nadmuchiwany żabi kostium został zaatakowany przez kolesia z ICE za pomocą gazu pieprzowego, który skurwiel wpuścił bezpośrednio do otworu wentylacyjnego kostiumu. Na żabie nie zrobiło to większego wrażenia: „Trochę pokasłałem, zauważyłem lekki posmak mięty pieprzowej… Jadłem znacznie ostrzejsze rzeczy, nie ma co się dziwić, jestem z Meksyku". Z radością odnotowujemy, że opisując przebieg konfrontacji, bohaterska meksykańska żaba określa współdemonstrantów słowem *comrades* – towarzysze.

Mimo iż pożądanego przez Trumpa pokojowego Nobla dostała wenezuelska agentka amerykańskiego wpływu Corina Machado, republikanie nie składają broni. „Donald Trump zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla" – ogłosił kongresman Buddy Carter w Fox News (jakby widzowie tuby trumpizmu sami tego nie wiedzieli). „Dlatego właśnie przedstawiam dziś projekt uchwały, która ma na celu uhonorowanie go Pokojową Nagrodą Nobla". Nawet biorąc pod uwagę dumną ignorancję stanowiącą duszę prawicowej Ameryki – trudno uwierzyć, że członek Kongresu może nie wiedzieć, że to nie Kongres przyznaje Pokojową Nagrodę Nobla. Sądzimy zatem, że Buddy po prostu dostrzegł okazję do głębszej penetracji prezydenckiego odbytu. W przypadku Przywódcy Wolnego Świata niemającego umysłowości narcystycznego czterolatka, inicjatywa taka mogłaby być ryzykowna. Trump był zadowolony.

À propos Fox News: także jego reporterzy zwrócili swoje akredytacje po tym, jak były prezenter Foxa Pete Hegseth, zatrudniony obecnie na stanowisku „sekretarza wojny", przedstawił dziennikarzom nowe zasady pracy w Pentagonie. Pierwsza wersja nowego regulaminu – opracowana, jak donosi „Washington Post", przez prawnika, który bronił Pete'a przed zarzutami o molestowanie seksualne – zawierała zapis: „Informacje muszą zostać zatwierdzone do publicznego ujawnienia przez odpowiedniego urzędnika przed ich ujawnieniem, nawet jeśli nie są objęte klauzulą tajności". Po gównoburzy, jaka się rozpętała, Pete'owi nieco zmiękła rura i przedstawił nowy regulamin stanowiący, iż publikacja nieutajnionych informacji jest chroniona przez pierwszą poprawkę do konstytucji – ale pytanie o nie personelu Pentagonu może być uznane za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Nowy regulamin dla reporterów obsługujących Pentagon ma 21 stron (stary miał jedną) i jego podpisanie stało się warunkiem zachowania akredytacji. Wobec czego w czwartkowe popołudnie, po zakończeniu dnia pracy, tuziny dziennikarzy opuściły największy biurowiec świata, targając ze sobą krzesła, kserokopiarki, książki i stare fotografie. W Pentagonie zostało 15 reporterów: garstka blogerów, czwórka korespondentów tureckich, jeden afgański i jeden indyjski.

AWŁ

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Jak to jest, że od rana do wieczora ostrzega się nas przed oszustwami, a one wciąż działają?

Wierzący inaczej

Nie da się powiedzieć, że tylko katolik ma przechlapane. Przechlapane ma każdy, kto wierzy. Ale widać, że ludzie muszą w coś wierzyć…

Zaczyna się od Kościoła?

Wierny wrzuca na tacę. Nie raz, nie dwa, tylko regularnie. Niedziela w niedzielę, święto w święto. Pięć złotych tu, dziesięć tam. Czasem dwadzieścia, jeśli akurat organista zagra coś ładnego albo proboszcz dobrze opowie o piekle. Do tego kolęda – tradycyjnie pięćdziesiąt złotych w kopercie, chociaż mówi się, że ostatnio proboszczowi mniej się opłaca chodzić po ludziach, bo ci coraz częściej nie otwierają.

Jak się doliczy ślub, chrzest, pogrzeb, jakąś intencję za babcię i remont wieży, to średnio pobożny człowiek oddaje Kościołowi przez całe życie co najmniej kilkanaście tysięcy złotych. I to tylko w formie gotówki.

Jeśli jednak ktoś w Kościół nie wierzy, to wierzy w coś innego. W nową platformę inwestycyjną, w SMS od banku, w konsultanta dzwoniącego w środku dnia. I wtedy też ma przechlapane. Bo dziś zaufanie pokłada się w zabezpieczonym koncie, w powitalnym bonusie, w „kliknij tutaj, żeby zachować środki".

Ludzie klikają. Pani Zofia z Białegostoku kliknęła, bo dostała SMS, że jej paczka utknęła. I że wystarczy 3,99 zł, żeby ją odblokować. Zapłaciła. Potem przyszedł mail z banku – a raczej z czegoś, co wyglądało jak bank. Zalogowała się. Rachunek wyczyszczony. Zgłosiła sprawę, ale nie miała czego odzyskać.

Pan Tomasz uwierzył w człowieka z Facebooka. Ktoś się do niego odezwał, podał się za kobietę – wdowę z dzieckiem. Przedstawiła smutną historię, potrzebowała pomocy. Tomasz pomagał. Najpierw przelew na bilet, potem na hotel, potem na operację. Piętnaście tysięcy złotych poszło. Nie wróciło.

Pani Barbara natomiast była ostrożna. Sprawdzała wszystko. Miała porządnego antywirusa, znała się na komputerach. Ale jak zadzwonili i powiedzieli, że jej konto jest atakowane, że mają zabezpieczenie, że trzeba tylko potwierdzić kod – to potwierdziła. Bo kto by nie potwierdził? Głos był uprzejmy, profesjonalny. A potem zniknęło osiem tysięcy.

Takie historie nie dzieją się raz na ruski rok. Tylko codziennie. Statystyki tego nie pokazują, bo nikt się tym nie chwali. Niejeden okradziony nie chce się przyznać, że dał się zrobić w konia. Prędzej powie, że zgubił portfel, niż że uwierzył w wiadomość od „infolinii bankowej".

Tyle że mechanizm zawsze jest ten sam. Zaufanie. Gdzieś z tyłu głowy rodzi się przekonanie, że nikt nie może nas oszukać. Bo przecież jesteśmy tacy ostrożni. Mądrzy. Internetowi. Wykształceni. A tu klops. Bo z tym całym wykształceniem i ostrożnością dalej wierzymy – tylko w inne rzeczy.

Nieważne, czy ktoś nosi różaniec, czy zegarek z NFC. Czy wierzy w sakramenty, czy w blockchain. Czy słucha proboszcza, czy influencera. Zawsze znajdzie się ktoś, kto na tej wierze zarobi.

Czasem będzie to ksiądz, co przejmie Dom Miłosierdzia wybudowany za społeczne. Czasem chłopak z call center, co powie, że trzeba przelać pieniądze na bezpieczne konto. Czasem znajoma z Instagrama, co zachęci do kupna kursu samorozwoju za 999 zł z kodem „WIARA23".

Niezawodny wnuczek z banku

77-letnia pani z Krakowa odebrała telefon z ZUS-u. A przynajmniej tak myślała. Miły głos obiecał jej dodatkowe świadczenie, wypytał o adres, rodzinę, pieniądze. Trzy dni później zadzwonił już policjant. Informował, że oszczędności seniorki są zagrożone. Wystarczy je wypłacić i przekazać funkcjonariuszowi. 30 tys. zł – gotówka, która przeszła z rąk do rąk bez pokwitowania, na ulicy Prądnickiej. Dopiero po próbie wypłaty kolejnych pieniędzy prawdziwa policja przerwała teatr. Oszust okazał się recydywistą, niedawno wyszedł z pudła. Był tzw. odbierakiem – twarzą legendy, w którą starsza pani uwierzyła.

Nie trzeba mieć 70 lat. Wystarczy mieć blika. I kolegę na Facebooku, który pisze: „Pożyczysz 200 na leki? Oddam wieczorem". Ludzie klikają. Pięć osób z Mrągowa, siedem z Oławy, dziesiątki z całej Polski. Oszuści przejmują konta społecznościowe, podszywają się pod znajomych. A my – wykształceni, nowocześni, ostrożni – robimy to samo co pani z Krakowa. Wierzymy. I płacimy.

Przekręt na blika działa banalnie. Przestępca przejmuje konto znajomego – najczęściej przez wyłudzenie hasła lub przez włamanie na skrzynkę mailową. Następnie rozsyła wiadomości do jego kontaktów: „Hej, możesz mi coś załatwić? Nie mam teraz karty, a pilnie muszę zapłacić za paliwo". Gdy ktoś odpowie – pojawia się prośba o kod blik. Tylko jeden, tylko na chwilę. Kod jest generowany przez ofiarę w aplikacji bankowej i ważny tylko kilka minut – ale to wystarczy, by oszust wypłacił pieniądze z bankomatu. Czasem przestępcy proszą też o potwierdzenie transakcji – kliknięcie „zatwierdź" w aplikacji mobilnej. I pieniądze znikają bezpowrotnie.

W Górzycy 43-latka zaczepiała kierowców i rowerzystów. Sprzedawała złotą biżuterię za 4 tys. zł. 75-letnia kobieta na rowerze kupiła tę opowieść

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

i wróciła do domu po gotówkę. Chciała pomóc. Chciała wierzyć. W zamian dostała tombak.

Wrocław. 18-latek podszywa się pod pracownika banku. Młody, pewny siebie. I bardzo przekonujący. Oszukuje na blika, odbiera gotówkę jako kurier. W ciągu kilku tygodni pokrzywdzeni tracą 114 tys. zł. I to nie był koniec – miał plan na kolejne 80 tys., ale policja mu go popsuła.

Ludzi dobrej woli jest…

Rodzaje oszustw w internecie są dziś zróżnicowane i precyzyjne. Najczęstsze to fałszywe sklepy internetowe – tworzone tak, by wyglądały identycznie jak znane serwisy. Oferują towar w niskiej cenie, przyjmują płatność blikiem lub kartą – i znikają. Nie ma ani paczki, ani kontaktu.

Są też platformy inwestycyjne – strony udające legalne giełdy, z wykresami, konsultantami, bonusami. Najpierw proszą o niewielką wpłatę, potem „zamrażają" środki, aż użytkownik przeleje kolejne tysiące, próbując je odzyskać.

Od lat funkcjonuje phishing – czyli maile i SMS-y od „banków", „firm kurierskich", „urzędów". Kliknięcie linku prowadzi do fałszywej strony logowania, gdzie ofiara podaje na tacy swoje dane dostępowe. Jest i vishing – oszustwo telefoniczne. Rozmówca podaje się za policjanta, prokuratora, konsultanta. Każe instalować aplikacje, wypłacać pieniądze, podawać kody.

W Skarżysku 65-latek stracił 60 tys. zł., inwestując w fałszywą platformę. Początek niewinny – tysiąc złotych, potem „koszty odblokowania sejfu". Historia opisywana w mediach setki razy. Podobnie jak przypadek 80-latka ze Starachowic, który uwierzył w szybki zysk i stracił 14 tys. Albo 61-latki, której mąż zainstalował aplikację do zdalnego pulpitu – i stracił wszystko.

Oszustwa ewoluują, ale mechanizm zostaje ten sam. Zawsze zaczyna się od zaufania. Od decyzji, że tym razem – to jest prawdziwe. Dlatego 78-latek wypłacił 50 tys. zł i dał je człowiekowi, który wyglądał jak prokurator. Dlatego 80-latek podał login i hasło „opiekunowi finansowemu" z obcym akcentem. I dlatego 75-latek wziął kredyt na 50 tys. zł, żeby wpłacić go na „inwestycję".

Poznańska policja rozbiła grupę, która wyłudziła 3 mln zł od 1300 osób. Ale to tylko fragment mapy. W Białymstoku, w Olsztynie, w Kościanie – wszędzie schemat ten sam. Najpierw telefon, potem gra emocji. „Pomóż nam złapać przestępców", „Twoje konto jest zagrożone", „Działamy w tajemnicy".

Ludzie zostawiają pieniądze w krzakach, przekazują nieznajomym, wpisują dane na stronach z końcówką .xyz. A potem pukają się w głowę i nie wiedzą, co powiedzieć rodzinie.

Nie chodzi tylko o seniorów. 34-letnia informatyczka z Warszawy – osoba z dwoma fakultetami, doświadczeniem w IT – straciła 12 tys. zł po kliknięciu w link z SMS-a. Twierdziła, że „wiedziała, że to podejrzane", ale „akurat była zmęczona, dzieci krzyczały, a wiadomość wyglądała znajomo".

Wiara to luksus, który drogo kosztuje. Człowiek zostaje z pustym kontem i historią, której nikt nie chce słuchać, bo przecież „trzeba być głupim, żeby dać się nabrać". Ale nikt nie jest głupi. Ludzie są tylko wierzący. Na swój sposób.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

● Rząd promienieje, bo giełda świeci się na zielono. Kapitalizacja notowanych na GPW spółek, nad którymi kontrolę sprawuje skarb państwa, wzrosła od wyborów z 15 października 2023 r. z 218 mld zł do 340,8 mld zł, czyli o ponad 56 proc. Premier i ministrowie klaszczą jakby sami te miliardy wyczarowali. A że giełda już dawno przestała mieć coś wspólnego z gospodarką, to szczegół. Przecież jak ruletka daje wygraną, to też nikt nie dopytuje, skąd wzięły się pieniądze.

Weźmy Orlen. Wartość spółki przekroczyła 100 mld zł, a akcje kosztują 88,63 zł, choć jeszcze dwa lata temu były po 62. Tauron? Dwa lata temu jedna akcja chodziła po 3,71 zł, dziś 8,64 zł. Wzrost o ponad 100 proc. PGE, PKO BP, PZU – wszystkie dumne jak paw. Tyle że 19 państwowych perełek drugi kwartał 2025 r. zakończyło stratą 658 mln zł. To już trzeci kwartał pod kreską, od kiedy nowa koalicja obsadza nimi swoich ludzi. Największa elektrownia w Polsce, Bełchatów, według ksiąg PGE warta jest równe zero. Tak samo jak Turów, Dolna Odra i Rybnik. Z punktu widzenia obywatela – bezcenne, bo dają prąd i ciepło. Z punktu widzenia zarządu – kula u nogi. PGE odpisała 8,7 mld zł na utratę wartości majątku, a w sumie w drugim kwartale straciła 9,6 mld. A rząd dalej się cieszy, bo przecież „kapitalizacja wzrosła". Bo na giełdzie nie liczy się to, kto ile zarabia, tylko kto pierwszy zgadnie, w którą stronę pójdą algorytmy największych funduszy. „Efekt jest taki, że kapitalizacja 13 spółek z udziałem Skarbu Państwa wzrosła o 122,8 mld zł" – zachwyca się rząd. Efekt rzeczywisty: PGE, KGHM, Enea, Azoty – albo ze stratą, albo z wynikami gorszymi o setki milionów złotych niż rok wcześniej. Grupa Azoty już 12 kwartałów pod kreską i ma łączne straty 6,2 mld zł. Ale co tam, przecież na parkiecie zielono. W tym samym czasie 19 największych prywatnych firm w kraju zwiększyło zyski o 16 proc., do 7,3 mld zł. I żadna z nich nie zanotowała straty. W tym samym kraju, przy tych samych podatkach i tej samej pogodzie. Może więc różnica nie w gospodarce, tylko w tym, że prywatne firmy nie mają ministrów za menedżerów?

● Według oficjalnych danych majątek przeciętnego Polaka zbliża się do 400 tys. zł. Statystycznie dorosły Polak posiada majątek o wartości 105 tys. dol. To siedem razy więcej niż w 1989 r. Ale od tamtej pory nie tylko zmienił się ustrój, ale i sposób liczenia. Wtedy mieliśmy po parę tysięcy złotych w kopercie i meblościankę, dziś – mieszkanie na kredyt, leasingowane auto i kartę kredytową z limitem. A mimo to wychodzi, że jesteśmy bogaci. Tyle że majątek to wszystko, co się posiada i ma jakąś wartość. Czyli nie tylko gotówka, ale też mieszkanie, biżuteria, samochód i zegarek po dziadku. Gdyby do tego doliczyć psa, telewizor i pralkę na raty, to może i przebijemy Luksemburg. Bo gdy spojrzeć na cyfry, to wygląda imponująco. Polacy trzymają na lokatach i rachunkach ponad 1,34 bln zł, w gotówce prawie 400 mld, a w funduszach i obligacjach jeszcze ponad 350 mld. W sumie oszczędności finansowych mamy niemal 2,5 bln zł. To równowartość budżetu państwa na trzy lata. Gdyby więc zebrać wszystko do jednej skarbonki, moglibyśmy przez chwilę poczuć się jak Katar.

A to i tak nic, bo największy majątek Polaków leży w murach i dachówkach. Wartość naszych nieruchomości przekroczyła 7,45 bln zł – ponad dwukrotność PKB. Z drugiej strony, przeciętny Polak ma dziś 33 400 zł długu. Zadłużenie gospodarstw domowych przekroczyło 760 mld zł, z czego dwie trzecie to kredyty mieszkaniowe. Według BIK aż 2 mln obywateli nie radzą sobie z terminową spłatą zobowiązań, co daje ponad 80 mld zł przeterminowanych długów. Mediana zadłużenia wynosi 5 tys. zł. Ale kto by się tym przejmował, skoro średni majątek to 400 tys.? Tak oto cyfry robią swoje. W zależności od tego, jak się je ustawi, można z biednego kraju zrobić potęgę. Zamiast mówić, że większość z nas żyje od wypłaty do wypłaty, wystarczy policzyć, ile warte są nasze dachy, ściany i kredyty. Wyjdzie, że jesteśmy drugim Singapurem, tylko z gorszą pogodą.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

● GUS znany jest z tego, że potrafi policzyć nawet to, czego nikt nie widzi. Teraz ogłosił, kto w Polsce zarabia najwięcej. I wyszło mu, że zarządzający zarabiają ponad 15 tys. zł brutto, czyli jakieś 10 tys. na rękę. Specjaliści dostają poniżej 11 tys., a ci od prostych prac – mniej niż 6 tys. „Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto przedstawicieli władz publicznych, wyższych urzędników i kierowników było wyższe o 42 proc. od średniego wynagrodzenia specjalistów" – czytamy w raporcie GUS. A w porównaniu z grupą najniżej opłacaną różnica wyniosła 266 proc. Innymi słowy: szef może kupić trzy garnitury, gdy jego podwładny zastanawia się, czy wystarczy mu na skarpetki. Co ciekawe, bardzo podobnie zarabiają pracownicy biurowi i robotnicy przemysłowi. Na liście najgorzej opłacanych wciąż królują sprzedawcy, pracownicy usług i rolnicy. Ci ostatni pewnie byliby zaskoczeni, że w ogóle ich ktoś liczy, bo od lat słyszą, że są „solą tej ziemi", a zarobki mają jak sól w zupie – symboliczne. Ale statystycy twierdzą, że wszystko idzie ku lepszemu. Wszak „we wszystkich wielkich grupach zawodów nastąpił wzrost wynagrodzeń nominalnych". Wśród mężczyzn największy – 33 proc. – mieli sprzedawcy, a najmniejszy, ledwie 19,6 proc., kierownicy. Wśród kobiet najlepiej podskoczyły pensje tych, które wykonują „proste prace" – aż o 35,9 proc. Po to takie wyliczenie? Bo w kraju, gdzie ludzie niechętnie zmieniają fach, dane o płacach pełnią raczej funkcję rozrywkową. Pracownik po pięciu latach studiów i dwóch dyplomach, który zarabia mniej niż operator koparki, nie pójdzie na budowę, choćby mu GUS codziennie wysyłał SMS-a z wykresem. Zwłaszcza że jeszcze dekadę temu ci sami mędrcy ekonomiczni tłumaczyli, że trzeba się kształcić, bo wiedza to kapitał. Teraz ci sami eksperci mówią, że lepiej było pójść do zawodówki, bo fach w ręku to złoto. Jeszcze zabawniejsze jest to, że GUS bada te wynagrodzenia tylko raz na dwa lata, a szczegółowe dane o strukturze płac mają się ukazać dopiero w lutym 2026 r. Do tego czasu połowa ankietowanych może już zmienić pracę, branżę albo kraj. Może właśnie dlatego dane zawsze wyglądają dobrze – bo zanim zdążą się zdezaktualizować, nikt nie zdąży ich zrozumieć.

TTJ

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Mniej niż zero

Bajki dla myślących

Nierówności majątkowe w Polsce

Czy wiedzieliście, że 50 proc. Polaków ma ujemny majątek? Ja nie wiedziałam. Dowiedziałam się o tym, przeczytawszy tekst w „Business Insider Polska", który w lutym 2023 r. podał, że co drugi Polak jest zadłużony w stopniu przewyższającym wszystkie posiadane przez niego dobra. Ta wiadomość znajduje potwierdzenie w kilku źródłach. Także raport z badania z 2016 r. wykazał, że 50 proc. gospodarstw domowych ma więcej długów niż aktywów. Średni majątek przypadający na Polaka wynosi ok. 50 tys. euro – jednak dla biedniejszej połowy ludności jest to wartość ujemna: średnio 700 euro poniżej zera.

Jak kształtują się nierówności w Polsce na tle państw od wieków nieprzerwanie żyjących w kapitalizmie? Oto przykład:

USA: 10 proc. najbogatszych posiada 72–77 proc. majątku, a 1 proc. najbogatszych 33–37 proc.

Niemcy: 10 proc. najbogatszych posiada 60 proc. majątku, a 1 proc. najbogatszych 25 proc.

Polska: 10 proc. najbogatszych ma 61,8 proc. majątku, a 1 proc. najbogatszych – 30,3 proc.

Jak to możliwe, że kraj, który zaczynał transformację jako relatywnie egalitarny, dziś stał się jednym z najbardziej nierównych społeczeństw Europy? Jak to się stało, że kraje Zachodu, w których od wieków kumulowały się majątki najbogatszych, są dziś pod względem nierówności porównywalne z Trzecią Rzeczpospolitą? Jak to się stało, że znikome nierówności z czasów PRL-u przerodziły się w przepaść majątkową, przewyższającą wielowiekowe nierówności Zachodu? To nie jest przypadłość, to systemowa katastrofa. Gdy połowa Polaków ma majątek netto na minusie, a garstka oligarchów i spekulantów kontroluje ponad 60 proc. bogactwa – mówimy nie o gospodarczym sukcesie, lecz o społecznym rozbiorze Polski.

W 2009 r. prezydent Lech Kaczyński podpisał ustawę rządu Donalda Tuska, która zastąpiła dotychczasowe trzy stawki podatku dochodowego – 19 proc., 30 proc. i 40 proc. – stawkami 18 i 32 proc. Jak już dowodziłam, PO–PiS rządził i rządzi. Antyspołeczną politykę PO–PiS skutecznie wspierał rząd SLD pod „światłym" przywództwem Leszka Milera. Te decyzje to była przemyślana grabież najuboższej części społeczeństwa, która przejęła na swoje barki lwią część zobowiązań podatkowych. Tak pogłębiono przepaść.

PRL, ze wszystkimi swoimi wadami, stworzył system, w którym nierówności były względnie kontrolowane. Transformacja w kapitalizm miała być, zgodnie z postulatami sierpniowymi i obietnicami Solidarności, szansą dla wszystkich – stała się jednak żniwem dla nielicznych. Dzika prywatyzacja, uwłaszczenie nomenklatury i polityczne koneksje zamiast równych szans stworzyły fundament ekonomicznej władzy nielicznej grupy elit.

To już nie jest nawet kapitalizm – to system neofeudalny, gdzie większość pracuje na rentę ekonomiczną nielicznych, czyli dochód uzyskiwany ze spekulacji, a nie pracy.

Polityka podatkowa ostatnich dekad – bieżącej polityki nie wykluczając – to przemyślana operacja transferu bogactwa od większości do wąskiej elity. Zniesienie progresji podatkowej dla najbogatszych w 2009 r. było jawnym aktem gospodarczej przemocy.

System, w którym przedsiębiorca i każdy, kto „prowadzi działalność gospodarczą", płaci podatek liniowy, a pielęgniarka czy nauczyciel – wyższą efektywną stawkę, to nie jest „wolny rynek", to patologia.

Tymczasem rynek nieruchomości zamienił się w pole grabieży. Spekulanci wykupują mieszkania w celu lokowania swoich majątków, windują ich ceny, a młode pokolenie skazane jest na wieczny najem lub życie w zadłużeniu. Wzrost cen najmu o 73 proc. w ciągu ostatniej dekady to nie „prawo rynku", to przestępstwo społeczne.

A teraz trochę bajki o tym, że można to zmienić. Jak – rewolucją fiskalną!

Potrzebujemy nie drobnych korekt, lecz radykalnej zmiany systemowej. Po pierwsze progresywnego podatku dochodowego, obejmującego także tzw. big-techy. Nie dajcie się omamić kłamstwami, że rynki finansowe wycofają się z inwestycji w Polsce – nie zrobiły tego w krajach o wysokich podatkach, to i nam trudno je będzie zniechęcić.

Po drugie – podatek katastralny od trzeciego i kolejnych mieszkań. Ci, którzy traktują nieruchomości jako narzędzie spekulacji, powinni ponosić odpowiedzialność fiskalną. To nie jest „kara za sukces" – to sprawiedliwość społeczna. Mieszkanie jest prawem, a nie towarem luksusowym. Takie rozwiązanie ograniczy spekulację, uwolni tysiące pustostanów i dostarczy samorządom funduszy na budownictwo społeczne.

Po trzecie – będę tu radykalna – konieczny jest powrót do progresywnego podatku spadkowego. Każdy powinien mieć możliwość przekazaniu swoim bliskim dorobku, ale jeśli jego wartość przekracza rozsądną miarę, powinien jednak być obłożony podatkiem. Dzisiejszy praktyczny brak podatku spadkowego pozwala na transfer ogromnych fortun między pokoleniami, utrwalając feudalny porządek. Podatek ten powinien być realnym narzędziem redystrybucji – im wyższa wartość spadku, tym wyższa stawka. To nie jest „hamulec rozwoju" – to konieczność w walce z odtwarzaniem się dynastii ekonomicznych, idącego za tym wyzysku i, w moim przekonaniu, nachodzącej klęski cywilizacji.

Nie zgadzajmy się na Polskę „mniej niż zero". Nierówności majątkowe to nie abstrakcja – to codzienne upokorzenie milionów Polaków, którzy pracują na cudzy luksus. To młode małżeństwa rezygnujące z dzieci z powodu braku mieszkania. To emeryci wybierający między lekami a opałem. To wreszcie system, w którym wolność bogatych opiera się na niewoli biednych. Nie dajmy sobie wmówić, że to konieczność.

ANNA GRODZKA

Nobel nieco na niby

Dlaczego co roku dostajemy tę samą bajkę?

Nobel z ekonomii nie jest tak naprawdę „Nagrodą Nobla", a jedynie „Nagrodą im. Alfreda Nobla", ufundowaną przez Bank Centralny Szwecji – więc to Nobel trochę na niby. Mimo to traktowany jest ze śmiertelną powagą przez ekonomistów na całym świecie. Czy zawsze słusznie?

Kiedy w 2024 r. ogłoszono, że Nobla z ekonomii dostali Daron Acemoğlu, Simon Johnson i James Robinson, wielu ekonomistów skinęło z uznaniem głowami. Ich książka „Dlaczego narody przegrywają" stała się międzynarodowym bestsellerem, a teoria o „instytucjach inkluzywnych" trafiła do podręczników. Ale czy na pewno zasłużenie?

Czym są te słynne „instytucje inkluzywne"? W dużym uproszczeniu, według Acemoğlu i Robinsona, są to instytucje, które:

– chronią prawa własności: gwarantują, że to, co zarobisz, rzeczywiście do ciebie należy;

– zapewniają demokratyczne procedury: każdy ma głos w sprawie tego, jak rządzi się krajem;

– zwalczają korupcję: urzędnicy nie mogą bezkarnie brać łapówek;

– dają równe szanse: niezależnie od tego, kim jesteś i skąd pochodzisz.

Wymaga to jednak uściślenia: autorom – tak przynajmniej powszechnie interpretuje się ich prace – nie chodzi o własność szczoteczki do zębów, samochodu czy mieszkania. Oni mówią o ochronie każdej własności – także finansowych imperiów. Mówiąc o instytucjach zapewniających demokratyczne procedury, mają na myśli taki ich stan, z jakim mamy do czynienia w Stanach Zjednoczonych czy choćby w Polsce – czyli parodię demokracji. Pisząc o zwalczaniu korupcji, biorą na cel raczej urzędników, a nie parlamentarzystów czy premierów i prezydentów – a przecież właśnie korupcja na tych najwyższych szczeblach oddaje faktyczną władzę w ręce finansowej oligarchii.

No i mamy zjawisko zwane „chińskim paradoksem":

w czasie gdy Acemoğlu i Robinson pisali swoje dzieła, Chiny już od ponad trzech dekad rozwijały się w tempie, jakiego świat nie widział. A robiły to w sposób, który przeczy teorii noblistów.

Bo w Chinach własność ziemi należy do państwa, nie do prywatnych osób, a system polityczny nijak nie jest demokracją typu zachodniego. Mimo to – albo właśnie dlatego – Chiny stały się drugą największą gospodarką świata. To tak, jakby ktoś wygrał maraton, biegnąc w przeciwnym kierunku niż wszyscy inni. Teoria Acemoğlu i Robinsona nie potrafi tego wyjaśnić.

W roku 2025 mamy jeszcze więcej tego samego. Tegoroczną nagrodę dostali Joel Mokyr, Philippe Aghion i Peter Howitt za badania nad innowacjami. Ich praca koncentruje się na trzech głównych obszarach. Pierwszy to rola wiedzy historycznej – Mokyr pokazał, jak nagromadzenie wiedzy w czasie rewolucji przemysłowej umożliwiło postęp technologiczny. Drugi to pozytywne następstwa „twórczej destrukcji" – Aghion badał, jak nowe technologie niszczą stare gałęzie przemysłu, tworząc jednocześnie nowe. W reszcie trzeci to modelowania wzrostu – Howitt tworzył matematyczne modele pokazujące dość intuicyjną moim zdaniem prawdę, że innowacje napędzają gospodarkę.

Ich badania – co ważne – ilustrują patologie gospodarcze związane z agresywnym zawłaszczaniem rynków przez wielkie korporacje, ale znów mamy do czynienia z tym samym schematem: ekonomiści tworzą modele, które świetnie działają w świecie równań, ale gorzej radzą sobie z rzeczywistością życia zwykłego człowieka.

Oczywiście, że są alternatywne podejścia do ekonomii, które powinny budzić zainteresowanie komitetu przyznającego Nagrodę im. Alfreda Nobla.

Jest nurt ekonomii, stawiający na alternatywne wskaźniki rozwoju. Dlaczego wciąż fetyszyzujemy PKB, skoro wiemy, że nie mierzy on jakości życia? Indeks Rozwoju Społecznego (HDI) czy mierniki dobrostanu pokazują, że prawdziwy rozwój to coś więcej niż tylko wzrost gospodarczy.

Istnieje także nurt zwany „ekonomią ekologiczną" – bada, jak rozwijać gospodarkę, nie niszcząc planety. Kate Raworth i jej „ekonomia pączka" pokazuje, że możemy zaspokoić potrzeby wszystkich, nie przekraczając granic Ziemi ani nie odlatując w kosmos.

Istnieje tzw. ekonomia feministyczna – uświadamia nam, że opieka nad dziećmi czy osobami starszymi to też praca, nawet jeśli nikt za nią nie płaci. Marilyn Waring już dawno pokazała, jak tradycyjne wskaźniki ekonomiczne zniekształcają obraz gospodarki.

Są znane i niepodważane badania nad nierównościami – jak choćby prace Thomasa Piketty'ego, który udowodnił, że kapitalizm systemowo prowadzi do rosnących nierówności, co destabilizuje społeczeństwa i ich gospodarki.

Jest „ekonomia behawioralna" – która pokazuje, że ludzie nie są tylko racjonalnymi maszynami do liczenia zysków, ale kierują się emocjami i uprzedzeniami.

Dlaczego to ważne? Gdy Nagroda Nobla trafia co roku do ekonomistów z wąskiego kręgu zachodnich uczelni promujących podobne teorie, tracimy coś bardzo cennego – perspektywę. To tak, jakbyśmy próbowali opisać cały świat, badając tylko widoczny horyzont. Tymczasem prawdziwe wyzwania – zmiany klimatyczne, rosnące nierówności, starzejące się społeczeństwa – wymagają świeżego spojrzenia. Potrzebujemy ekonomii, która rozumie, że ludzie to nie tylko homo economicus, ale istoty kierujące się emocjami, tradycją i troską o innych. Bo ekonomia to nauka społeczna, a nie tylko zbiór udowadnianych matematycznie praw. Bo prawdziwa ekonomia powinna służyć ludziom, a nie tworzyć eleganckie teorie, które szukają uzasadnienia dla systemu, w jakim wszyscy – wraz z ekonomistami – musimy (póki co!) żyć.

ANNA GRODZKA

Musk już nie najbogatszy

Larry to nowy Elon

Ojca Tesli prześcignął Larry Ellison, który w ciągu jednej doby wzbogacił się o 100 mld dol. Stało to się dzięki temu, że w dniu 9 września jego firma Oracle podpisała z klientami umowy opiewające na miliardy dolarów. W rezultacie już następnego dnia jej akcje odnotowały skokowy wzrost – największy jednodniowy wzrost w historii. Od tego momentu Ellison stał się najbogatszym człowiekiem na świecie z majątkiem 393 mld dol., wyprzedzając tym samym Elona Muska posiadającego 385 mld.

Ellison ma teraz niemal dwukrotnie więcej pieniędzy niż piąty na liście najbogatszych Larry Page, współtwórca wyszukiwarki internetowej Google, który ma zaledwie 210 mld. dol. Dla porównania – PKB Sudanu Południowego wynosi 4 mld dol.

Do takiego bogactwa Larry Ellison dochodził stopniowo. W roku 1977 w wieku 34 lat wraz z dwoma wspólnikami założył pierwszą firmę, która w pięć lat później przyjęła nazwę Oracle Corporation i w 1986 r. weszła na giełdę. Ellison od 11 lat jest formalnym prezesem firmy. Oracle zajmuje się tworzeniem oprogramowania do obsługi przedsiębiorstw – zwłaszcza systemów zarządzania bazą danych. Jest drugim na świecie po Microsofcie sprzedawcą oprogramowania i obsługuje ok. 275 tys. klientów w 145 krajach,w tym również w Polsce.

Ellison pracował m.in. przy tworzeniu baz danych dla CIA. Był to jeden z pierwszych projektów mających stworzyć olbrzymi zbiór – tzw. big data – o każdym obywatelu.

Jak się okazuje, permanentna inwigilacja to droga do skutecznego wzbogacenia. W ciągu ostatnich ośmiu lat Larry Ellison pomnożył swój majątek z 52,2 mld dol. do obecnych 393.

BKJ

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Świętość we krwi skąpana

Zamiast grzesznego święta zza oceanu nasi biskupi proponują coś znacznie fajniejszego.

Księża i biskupi pod koniec każdego października dostają twórczego uniesienia i kombinują, jak by tu obrzydzić katolickiemu narodowi Halloween. Archidiecezja krakowska rok temu pisała o Halloween, że jest źródłem niepokoju wielu rodziców. Ba, zmarłego papieża Franciszka też. A on chciał, żeby święto duchów i upiorów zastąpić bezpiecznymi dla dzieci korowodami wszystkich świętych. Podkomendni Jędraszewskiego wychwalali korowody, bo ich zdaniem „ma to bardzo ważny walor wychowawczy – dzieci zazwyczaj poznają życiorysy świętych, za których się przebierają. Często jest też tak, że pobudza je to do próby naśladowania świętych. Stają się dla nich prawdziwymi bohaterami”.

Jak nigdy wypada nam się z archidiecezjalnymi oficjelami zgodzić, uznając, że to świetny pomysł.

Już się zbliża

Na początek wdziewamy na dziecię najbardziej zapuszczone ubranko. Potem nabywamy flaszkę z napojem alkoholowym. Sami wypijamy ponad połowę, a z resztą w dłoni przyprowadzamy dziecię na miejsce przedmarszowego zgromadzenia. Gdyby ktoś z organizatorów miał jakieś wątpliwości, wyjaśniamy mu, że małolat jest błogosławionym Mateuszem Talbotem, który – jak stanowią żywoty świętych – od 12. do 27. roku życia upijał się codziennie.

Gdybyśmy jednak w marsz posyłali dziewczynkę, to jej strój mógłby się składać z miniówki i bluzki z dekoltem po dwunastnicę. Dla pełnego anturażu przydałoby się jeszcze wyzywające zachowanie polegające na obściskiwaniu się ze wszystkimi mężczyznami. Nie wyłączając masowania im okolic rozporków. Tym, którzy uznaliby taki strój i zachowanie za niestosowne, wyjaśniać należy, że dziewczynka jest św. Marią Egipcjanką. Co to jak miała 12 lat, dała dyla z domu i przez kolejne lat 17 oddawała się wszystkim facetom, którzy jej się napatoczyli. Czyniła to, broń Boże, nie dla zysku, ale dlatego że lubiła sprawiać przyjemność tak sobie, jak i innym. Jej największym wyczynem było przespanie się ze wszystkimi uczestnikami pielgrzymki, którzy płynęli statkiem do Ziemi Świętej.

Dla dziewczynek, które nie boją się zimna, proponujemy też strój składający się z prześwitującego peniuaru i braku bielizny. Należy wszakże pamiętać o depilacji okolic łonowych i ostrym makijażu. To dzięki temu będzie się wiarygodną w odgrywaniu roli św. Pelagii. Aktorki z czasów rzymskich, dla której ojcowie porzucali dzieci, a bogacze trwonili majątki. O jej wyczynach scenicznych pisano zaś: „Gdy była na scenie, nie było nic bardziej plugawego”.

Tym razem propozycja dla chłopca. Białą koszulę wypuszczamy mu ze spodni, by udawała rubaszkę. Skrapiamy ją sokiem z buraków lub keczupem i do kompletu otaczamy małolata wianuszkiem dziewcząt. Będzie wszak św. Włodzimierzem. Tym samym, który zabił brata, a wdowę po nim wcielił do swego 800-konkubinowego haremu. Bo o takich detalach jak składanie przez niego ofiar z ludzi nie warto chyba wspominać.

W celu zrobienia przyjaznego gestu w stronę ukraińskich uchodźców sprezentujmy uczestniczącej w marszu dziewczynie warkocz à la Tymoszenko, białą koszulę nocną mocno potraktujmy czerwoną farbą, a do ręki do wyboru: łopata, pochodnia lub replika miecza. Wszystko po to, by jak najwierniej odtworzyć postać czczonej przez dwa kościoły św. Olgi. Akcesoria w dłoniach będą służyły upamiętnieniu traktowania przez nią przeciwników politycznych. Zakopywała ich bowiem żywcem, tymże samym żywcem paliła lub nawet wyrzynała. Tych, którzy zostawali żywi, sprzedawała zaś jako niewolników.

Rys. WIDGET

Już puka do mych drzwi

Kolejna propozycja odnosi się zarówno do dziewcząt, jak i chłopców. W sklepie nabywamy małą dynię i jakąkolwiek maskę. Potem zręcznie ukrywamy głowę małolata w golfie lub szaliku, a dynię w masce niesiemy pod pachą. Jeśli maska będzie kobieca, możemy powiedzieć, że dziecko jest ściętą byłą św. Zofią, jeśli maska będzie męska, to do wyboru mamy przynajmniej kilkuset świętych męczenników, którzy zostali świętymi przez dekapitację.

Przy kolejnej postaci należy wykazać się inwencją aktorską. W tym celu na twarz dziecięcia należy nanieść białą farbkę do ciała. Na szyję zaś coś, co będzie imitowało nieudane cięcie mieczem. Garderoba poniżej szyi powinna być skropiona obficie barwnikiem czerwonym. W końcu przebieramy je za św. Cecylię, zmarłą przez wykrwawienie się przy próbie ścięcia mieczem.

Kolejny święty też wymaga zdolności charakteryzatorskich. Spalone włosy, spalona tkanka miękka na twarzy i reszcie ciała. To wyzwanie nie lada. Ale na pewno się opłaci, bo dobrze zrobiona postać spalonej na stosie św. Apolonii z Aleksandrii ma szansę na nagrodę miss korowodu.

Męskim odpowiednikiem powyższej świętej może być św. Wawrzyniec. W końcu zmarł przypiekany na rozżarzonym ruszcie.

Kto wie, czy o tytuł miss nie powalczy też panna udająca jednocześnie ofiarę ognia, utopienia i na dodatek strzał łuczniczych? Św. Krystyna daje pole do popisu najbardziej ambitnym.

Niesiona w ręku gumowa kończyna pomalowana na czerwono. Jakaś maska z częściowo nadgryzioną twarzą i już ma się dziecko przemienione w św. Eufemię z Chalcedonu. Kobieta zeszła wszak z tego świata, będąc rzucona na pożarcie dzikim zwierzętom.

I znowu propozycja dla zaawansowanych. Trzeba mieć krzyż, do którego przywiąże się małolata, a poza tym wypada, by wyglądał jak coś, co się spaliło w piekarniku. Inaczej nie będzie można udawać św. Wincentego z Saragossy.

Teraz dwie opcje do wyboru: albo malujemy twarz na biało, albo robimy maskę zieloną i mocno napuchniętą. Wszystko zależy od tego, czy chcemy przebrać dziecko za topielca świeżego, czy takiego kilkunastodniowego. Obie możliwości są w porządku, bo nie wiadomo, ile dni w wodzie spędził św. Florian.

Kolejna propozycja jest dla tych, którzy nie lubią się przepracowywać. Nakładamy dziecku bladość na twarz, czerwienimy ubranie. A w deseczkę pod nim wbijamy rylec. Oczywiście w sposób taki, by był widoczny. Po zrobieniu tego wszystkiego jesteśmy zadźganym św. Kasjanem.

I znowu rzecz nieskomplikowana. Dzięki przepołowionym piłeczkom pingpongowym robimy maluchowi wyłupiaste oczy, pobielamy twarz i lekko przechylamy głowę, każąc wysunąć mu język najdalej jak da radę. Ma się wszak stać straconym przez powieszenie św. Anastazym Persem.

Dokładnie tak samo można postąpić z dziewczynką, która chce się wcielić w uduszoną św. Ludmiłę Czeską.

O, szczęście niepojęte

Do następnego kostiumu potrzebujemy dwie atrapy damskich piersi. Oczywiście mocno potraktowanych czerwoną farbką. Makijaż powinien nosić cechy spalenizny. Tak samo jak peruka. Niestety, nie da się strojem oddać całości tego, co spotkało św. Agatę z Katanii, bo skoro najpierw odcięto jej obie piersi, by potem zhańbić i rzucić na rozżarzone węgle... Te ostatnie dość dokładnie zamaskowały wszystkie zewnętrzne oznaki zhańbienia.

Gdybyście mieli 40 dzieciaków, które nie wiedzą jak się przebrać, to nie ma problemu. Wystarczy całe ciało pomalować im farbką o barwie sinej I już się jest świętymi 40 męczennikami z Sebasty. Chciano ich co prawda ukamienować, ale odstąpiono od tego i wystawiono ich na mróz. Gdy zamarzli, ich ciała spalono.

Na koniec idolka z naszego podwórka. Biała farbka na twarz, czerwona szrama na szyi. Pokolorowana na czerwono biała koszula nocna, rozerwana, rzecz jasna, do wysokości piersi. I tu uwaga. Ponieważ kostium zakłada brak majtek, to w tym przypadku, jeśli chce się być wiernym prawdzie historycznej, należy mieć owłosione łono. A uda poniżej mają spływać kolorem czerwonym imitującym dziewiczą krew bł. Karoliny Kózkówny, co to nie dała Ruskiemu.

Inspiracji można znaleźć setki. A że studiowanie żywotów świętych może wymagać potem kilkunastu wizyt u psychologa?

Nieważne. Najistotniejsze wszak dla prawomyślnego katolika jest to, żeby wiedział, że wampiry, zombie i takie tam są wymyślone. Zaś święci nie dość, że prawdziwi, to na dodatek wymagający naśladowania.

TOMASZ BOROWIECKI

Niekończąca się opowieść

Od Sosnowca do Drobina, to nie księdza wina

Przyzwyczajeni do bezkarności polscy księża nie przyjmują do wiadomości spadku zaufania do Kościoła i żyją tak, jakby piekła nie było i wymiaru ziemskiej sprawiedliwości także. Wyjątkowym recydywistą jest ks. Krystian K. z diecezji sosnowieckiej, bohater i organizator narkotykowo-seksualnej imprezy, która zakończyła się zgonem 21-latka w mieszkaniu duchownego. Trwa proces, odbyła się już pierwsza rozprawa, na którą ksiądz jednak nie dotarł, bo ma ciekawsze zajęcia. Nie przyznaje się do winy, na rozprawy nie są wpuszczane media. Wisi nad nim widmo odsiadki, ale odpowiada z wolnej stopy, a w zasadzie to odpowiada za niego prawnik.

Z Onetem na Grindrze

Sosnowiecki kapłan padł ostatnio ofiarą podłej prowokacji. Mimo problemów z prawem Krystian K. nadal prowadzi intensywne życie towarzyskie, a potencjalnych partnerów szuka na aplikacji dla gejów Grindr. Ma kilka profili, pozostaje niezwykle aktywnym poszukiwaczem przygód. Tam znalazła go dziennikarka „Newsweeka” Renata Kim, która udawała zainteresowanego intymnym spotkaniem z księdzem mężczyznę. Nie na darmo niewiasty nie mają praw w Kościele – ksiądz Krystian się nie zorientował, że ma do czynienia z bezbożnicą i ustalał z reporterką szczegóły spotkania. Także szczegóły techniczne. Pytanie o zabezpieczenie podczas seksu zbył teologicznym argumentem, że „Bóg go chroni”.

Nie ochronił. Prowokacja została doprowadzona do nieszczęśliwego dla kapłana finału. Krystian K. lubi się wspomagać nielegalnymi środkami – podczas poprzedniej, tragicznej randki znaleziono u niego mefedron. Tym razem także nie przyszedł na spotkanie z pustymi rękoma – w umówionym z prowokatorami z „Newsweeka” miejscu pojawił się z narkotykami. Zamiast kochanka zastał na miejscu policję.

Rys. WIDGET

– Postępowanie toczy się w sprawie mającego miejsce w dniu 12 października w Katowicach na placu Marii i Lecha Kaczyńskich posiadania przez ustalonego mężczyznę, wbrew przepisom ustawy, substancji odurzającej w nieustalonej dotąd postaci w ilości 4,86 g

– informuje prokurator Jakub Jagoda. Wyjątkowo symboliczny jest patronat zmarłej pary prezydenckiej.

Po poprzedniej wpadce ksiądz Krystian został zawieszony we wszystkich prawach księżowskich. Renata Kim wskazuje wszakże, że nadal mieszka on na plebanii w Czeladzi. W diecezji był nie byle kim: jako doktor prawa kanonicznego pracował w sosnowieckim sądzie biskupim, czyli rozpatrywał grzechy kolegów i ma zapewne sporą wiedzę na temat niejednego księdza z regionu. Między innymi jego sprawa była podstawą do wysłania na dużo wcześniejszą emeryturę bepe Grzegorza Kaszaka. Następcy Kaszaka, Arturowi Ważnemu, także póki co nie udało się utemperować księdza Krystiana – a on sam, jak widać, nie wykazuje woli poprawy. Szef nie odciął się od pracownika całkowicie, ale o kolejnej wpadce podobno dowiedział się z mediów.

– Jesteśmy gotowi w pełni współpracować z organami ścigania i czekać na wyniki dochodzenia. Dodać należy, że trwa proces karno-administracyjny w sprawie dotyczącej księdza Krystiana. Zarówno ksiądz biskup, jak i kuria wielokrotnie oferowali duchownemu różne formy wsparcia. Ksiądz nigdy z nich nie skorzystał. Na wyraźną prośbę księdza obecnie wszelki kontakt z nim odbywa się wyłącznie za pośrednictwem jego adwokata – mówi Dominika Bem, rzeczniczka sosnowieckiej kurii.

Biskup polecił też krnąbrnemu podwładnemu udanie się na terapię. Ważny swego czasu był egzorcystą, ale nawet jemu nie udało się wypędzić ducha nieczystości i narkomanii z Krystiana K. W całej sprawie szkoda tylko chłopaka, który zmarł w mieszkaniu księdza.

Pigułka gwałtu i opieka duszpasterska

Sprawiedliwości nie może się też doczekać rodzina innej ofiary księżowskiej chuci: 30-latka, który zmarł na plebanii w Drobinie w diecezji płockiej. Jego zwłoki znaleziono 7 września ubiegłego roku, a sprawą zajęła się Prokuratura Rejonowa w Sierpcu. Do dziś jednak nikomu nie postawiono zarzutów. Onet opublikował materiał, w którym zwrócono uwagę na przedłużanie się śledztwa.

– Od 12 miesięcy słyszymy od prokuratury, że już za niedługo coś ustalą, że ktoś odpowie za śmierć brata. Najpierw prokurator z Sierpca mówił, że czeka na wyniki toksykologii. Jak przyszły po siedmiu miesiącach, to nikt nie dostał zarzutów, bo okazało się, że brakuje opinii biegłego, który by stwierdził bezpośrednią przyczynę i czas zgonu – mówi red. Szymonowi Piegzie siostra zmarłego mężczyzny. Według ustaleń Onetu w aktach sprawy jest już opinia biegłego stwierdzająca, że 30-latek zmarł, bo w jego organizmie znalazła się śmiertelna dawka „pigułki gwałtu”.

Diecezja płocka podjęła kroki specyficzne dla Kościoła. W sprawie księdza toczy się postępowanie kanoniczne, zaś biskup Szymon Stułkowski zadbał, żeby parafianie z Drobina mieli porządną „opiekę duszpasterską”. Powołał też specjalny zespół, który miał zbadać sprawę, a raport wysłać do Watykanu. Zespół zakończył prace, ale w Watykanie nic o raporcie nie wiedzą. Rzeczniczka diecezji Ilona Krawczyk-Krajczyńska poinformowała Onet, że raport poleci do Rzymu od razu po tym, jak uzupełnią go o ustalenia prokuratury. A tych, jako się rzekło, na razie nie ma. Można by powiedzieć, że będziemy czekać do usranej śmierci, ale śmierć się już zdarzyła.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Uczniowie mają edukację zdrowotną dokładnie tam, gdzie katechezę.

Wojna religijna

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Zgodnie z rozporządzeniem religia miała się znaleźć na początku lub końcu dnia lekcyjnego. Do tego z dwóch godzin tygodniowo została tylko jedna. Na alarm zaczęli bić świeccy katecheci. Grupa, która przez ostatnie dekady uczyła religii nie dlatego, że tak chciała szkoła, ale dlatego, że ksiądz tak chciał.

Nominaci proboszcza

To bowiem proboszcz decyduje, kto może wejść do klasy z krzyżem i podręcznikiem „Wierzę w Boga". To on podpisuje stosowną delegację i to on potrafi ją cofnąć w trybie natychmiastowym, jeśli katecheta powie jedno słowo za dużo albo jedno słowo za mało – bo, jak wiadomo, w kościelnych strukturach to nie prawda ma znaczenie, ale posłuszeństwo.

I nagle okazuje się, że część tych ludzi, wyniesionych kiedyś przez ambonę do rangi wychowawców sumień, wreszcie wyrzucono do kosza. Ministerstwo Edukacji tłumaczyło to racjonalnie – zmniejszają się grupy, uczniów na religii jak na lekarstwo, a liczby nie kłamią. Ale to tylko część prawdy. Druga część siedzi w katechecie i drży, bo z jednej godziny nie wyżyje.

Przez lata świeccy katecheci narzekali na zarobki, jęczeli, że bieda, że nie starcza, że do drugiej szkoły trzeba jeździć autobusem, a teraz – kiedy religia zredukowana zostaje do jednej lekcji – okazuje się, że wcześniej jakoś sobie radzili. Utrzymywali się, płacili rachunki, robili zakupy i nie musieli zbierać datków po parafii. Więc jak to możliwe, że dziś – z jedną godziną religii – sytuacja jest aż tak dramatyczna? Czyżby katecheza przez lata była lukratywnym przedsięwzięciem, o którym zapomnieli powiedzieć mediom?

A gdyby tego było mało, na horyzoncie pojawił się nowy przedmiot – edukacja zdrowotna. Pomysł był prosty: skoro katecheci tracą godziny, to może przekwalifikują się i będą uczyć o zdrowiu. Ale tutaj Kościół unosi się świętym oburzeniem. Jak to? Nauczyciel religii ma mówić o antykoncepcji? O prezerwatywach? O miesiączce?

Katecheci bronili się przed tą propozycją. Mówili, że to wbrew ich sumieniu, że to zdrada wiary, że oni do szkoły przyszli, żeby mówić o miłości Boga, a nie o cyklach menstruacyjnych. A poza tym, gdyby ksiądz proboszcz dowiedział się, że jego wysłannik w szkole opowiada dzieciom o prezerwatywach, to następnego dnia jego nazwisko zniknęłoby z listy delegowanych. Bo moralność moralnością, ale ideologia katolicka to rzecz święta.

Jeszcze zabawniejsze jest to, że gdy świeccy katecheci płakali, apelowali i pisali petycje, Kościół im współczuł. Księża mówili: „rozumiemy was, walczymy razem". A przecież to oni, duchowni, stanowią niemałą część kadry katechetycznej. Mają pensje z parafii, mieszkania na plebaniach, posiłki z kuchni zakonnej, czasem nawet służbowe auta i nie muszą się martwić, że nie mają na ZUS. A jednak nie słychać żadnego księdza, który powiedziałby: „Oddaję swoją godzinę religii, niech świecki kolega ją weźmie, bo on z tego żyje". Nie ma takich przykładów. Nie dlatego, że nie mogą – ale dlatego, że nie chcą.

W efekcie całe zamieszanie wokół religii w szkole przypomina farsę. Mamy grupę zawodową, która powstała z woli Kościoła, jest zatrudniona przez państwo, opłacana z budżetu, pracująca na pół etatu, ale z pełnią ambicji. Mamy strukturę, która twierdzi, że kieruje się Ewangelią, ale nie ma w niej ani cienia miłosierdzia dla tych, którzy stoją nad przepaścią. Mamy nauczycieli, którzy przez dekady nie zadali sobie trudu, by zrobić papiery na drugi przedmiot, a teraz są zaskoczeni, że rynek ich nie chce. I mamy władzę, która mówi: „daliśmy wam pół roku na przekwalifikowanie się – i to wystarczy".

Katecheci w natarciu

„Wprowadzona przez Barbarę Nowacką rewolucja w nauczaniu religii może skończyć się bardzo szybko" – twierdziło Stowarzyszenie Katechetów Świeckich. Ich walka po miesiącach protestów i narastającej niepewności wkroczyła w fazę decydującą. 26 września sejm głosował nad obywatelskim projektem ustawy, który zakłada, że religia lub etyka będą obowiązkowymi lekcjami dwa razy w tygodniu. „Jesteśmy po rozmowach z klubami poselskimi, są duże szanse na to, że nasz projekt przejdzie" – mówili przed głosowaniem działacze.

Projekt ustawy przygotowany przez SKŚ we współpracy z prawnikami z Ordo Iuris cofa wszystkie zmiany. Zakłada, że w przedszkolach, szkołach podstawowych i ponadpodstawowych organizowane będą zajęcia religii lub etyki w wymiarze dwóch godzin lekcyjnych tygodniowo. Autorzy projektu chcą, żeby te przedmioty były obowiązkowe – uczniowie musieliby uczęszczać na jeden z nich. Dziś uczniowie mają wybór, by nie uczęszczać ani na religię, ani na etykę. Projekt przewiduje też, że oceny z tych przedmiotów będą znów umieszczane na świadectwach, wliczane do średniej ocen i uwzględniane przy promocji do następnej klasy. Rodzice lub pełnoletni uczniowie musieliby corocznie do 10 lipca złożyć deklarację, czy wybierają religię, czy etykę.

W projekcie znalazł się też zapis, że uczniowie religii mieliby prawo do zwolnienia z zajęć szkolnych „w celu odbycia trzydniowych rekolekcji wielkopostnych". SKŚ zebrało ponad pół miliona podpisów pod projektem, co trudne nie było, bo podpisy zbierano po mszach.

SKŚ prowadził rozmowy z klubami poselskimi – mówiono o PiS, Konfederacji i części PSL – i to właśnie PSL miał odegrać kluczową rolę jako ugrupowanie, które przeważy głosy.

Po głosowaniu okazało się, że antyrządowy projekt nie znalazł się w koszu, ale przeszedł do pracy w komisji. Prokościelne lobby zadziałało na tyle skutecznie, że przeciwko Nowackiej zagłosowała i część Polski 2050.

Małe katechetyczne ojczyzny

Porażka rządu w głosowaniu sejmowym to niejedyna bitwa w wojnie religijnej. Katecheza, wyprowadzana tylnym wejściem z planów lekcji, wraca drzwiami frontowymi. Szkoły wszak mamy samorządowe. Zatem Czarny Dunajec, Szerzyny, Tuchów, Ochotnica Dolna i kolejne gminy postanowiły sięgnąć do własnych budżetów i samodzielnie sfinansować drugą godzinę religii.

Burmistrz Czarnego Dunajca nie owijał w bawełnę. „Finansując lekcje religii, posłuchałem głosów mieszkańców, którzy mnie o to prosili. Jest to kwota siedmiuset tysięcy złotych" – deklarował. Gmina, której budżet na przyszły rok przekracza 160 mln zł, nie wahała się ani chwili.

Szerzyny, gmina o znacznie skromniejszych zasobach, również nie zamierzała rezygnować z religii. Wójt w rozmowie z lokalną prasą stwierdzał wprost: „Nie jesteśmy zamożnym samorządem, ale nie możemy sobie pozwolić na to, żeby naszym uczniom ograniczyć dostęp do nauczania religii. Nawet za cenę ograniczenia innych wydatków". W decyzji pomogła także ankieta przeprowadzona wśród rodziców – 95 proc. poparcia.

Podobną drogą poszedł Tuchów. Burmistrz po konsultacjach z rodzicami i szkołami ogłosiła, że druga lekcja religii zostanie sfinansowana z budżetu miasta. Szacunkowy koszt? 300 tys. zł rocznie. A wszystko zaczęło się od listu proboszcza parafii.

Ministerstwo nie pozostaje bierne. Wiceministerka Katarzyna Lubnauer zapowiedziała kontrole. Małopolska kurator oświaty ostrzegała, że druga godzina religii musi być finansowana zgodnie z prawem, inaczej będzie to naruszenie dyscypliny finansów publicznych.

A jednak trend rośnie. W Ochotnicy Dolnej roczny koszt drugiej godziny religii to 200 tys. zł. W Dąbrowie Tarnowskiej czeka się na sygnał od rodziców – jeśli będzie zapotrzebowanie, gmina dofinansuje religię przynajmniej w klasach przygotowujących się do komunii i bierzmowania. Popierani przez proboszczów wójtowie, burmistrzowie, rady gmin, dyrektorzy szkół zaczynają działać.

To wszystko dzieje się w kraju, gdzie

uczniowie sami z siebie wymiksowują się z religii. Bez manifestacji, bez transparentów, bez głośnych deklaracji. Po prostu przestają przychodzić.

W Łodzi cztery lata temu na religię uczęszczało ponad 38 tys. uczniów. Dziś – niespełna 30 tys. W szkołach ponadpodstawowych ponad 80 proc. uczniów w ogóle nie uczestniczy w zajęciach z religii.

We Wrocławiu jest tak samo. Dwa lata temu w podstawówkach na religię uczęszczało 62,5 proc. uczniów. Teraz niecała połowa. W szkołach średnich tylko jedna na dziewięć osób zapisanych jest na religię. Etykę wybiera garstka. Większość nie wybiera nic.

„Łączna liczba uczniów, którzy nie uczestniczą w lekcjach religii, wynosi obecnie 10 619, co stanowi 49,63 proc. wszystkich uczniów" – powiedział niedawno rzecznik prasowy olsztyńskiego ratusza. W olsztyńskich podstawówkach na katechezę chodzi 66 proc. dzieci, przy czym w najmłodszych klasach ten odsetek wynosi nawet 90 proc. Jednak w VIII klasie liczba ta spada do zaledwie 35 proc. W szkołach średnich frekwencja na religii wynosi 37 proc., a w niektórych placówkach liczba uczniów uczestniczących w katechezach to mniej niż 10 proc.

W Lublinie i Krakowie dane nie są gromadzone. Samorządy nie chcą wiedzieć. Lub nie chcą powiedzieć, że wiedzą. Ale ogólnokrajowe raporty Ministerstwa Edukacji pokazują, że z roku na rok liczba uczniów uczestniczących w lekcjach religii maleje systematycznie. W szkołach średnich obecnie uczestniczy w nich mniej niż 60 proc. uczniów. W wielu dużych miastach – znacznie mniej.

Według Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego w roku szkolnym 2022/2023 na religię chodziło 80,3 proc. uczniów. Rok wcześniej – 82 proc. W 2010 r. – 93 proc. Jeszcze wcześniej – niemal wszyscy.

Bo według międzynarodowych badań Polska sekularyzuje się najszybciej na świecie. Różnica religijności między młodymi a starszymi w Polsce jest największa spośród wszystkich analizowanych krajów.

Owszem, Polska wciąż nie jest Irlandią, Francją czy Czechami. Ale tempo przemian jest takie, że za kilka lat może być. I nawet jeśli nie osiągnie ich poziomu laicyzacji, to i tak będzie innym krajem niż ten, w którym religia była fundamentem edukacji. I nic z tym nie zrobi nawet 10 obowiązkowych godzin religii tygodniowo w szkołach.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Przed Sądem Rejonowym w Łomży rozpoczął się proces ks. Radosława Kubła, któremu prokuratura zarzuca przestępstwo przeciwko wolności seksualnej. Były proboszcz parafii Bożego Ciała w Łomży jest oskarżony o wykorzystanie bezradności osoby pełnoletniej w celu doprowadzenia jej do obcowania płciowego lub poddania się innej czynności seksualnej. Podczas przesłuchania jurny ksiądz nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i skorzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień. Od czasu postawienia zarzutów ks. Kubeł został zawieszony w pełnieniu funkcji proboszcza. Decyzją sądu proces toczy się za zamkniętymi drzwiami.

✚ Posłowie Prawa i Sprawiedliwości zgromadzili się w sejmie pod tablicą upamiętniającą Jana Pawła II i dla uczczenia 47. rocznicy wyboru Polaka na papieża odśpiewali „Barkę". Katolicki zryw prawicy nie spodobał się księdzu Łukaszowi Sośniakowi. Jezuita napisał na platformie X „Jan Paweł II właśnie przez takie akcje został »skremówkowany«. Infantylna idolatria zredukowała go do mema i pociesznego dziadka od anegdot". Duchownemu wyjaśniamy, że papka JP2 jest przede wszystkim bohaterem memów o pedofilii, politykom PiS zaś tłumaczymy, że „Barkę" śpiewa się tylko o godz. 21:37, bo wtedy jest śmiesznie.

✚ 12 października wskutek anonimowego zgłoszenia katowiccy policjanci wylegitymowali ks. Krystiana K., który jak się okazało, był w posiadaniu 4,86 g nieznanej substancji. Według relacji śledczych zgłaszający miał twierdzić, że duchowny proponował mu narkotyki. Wstępny narkotest dał wynik negatywny, dlatego próbkę skierowano do badań laboratoryjnych. Na tym etapie postępowania klecha ma status świadka. Równolegle w związku ze zdarzeniami z marca 2024 r. wobec księdza toczą się dwa postępowania. Przypomnijmy, w mieszkaniu ks. Krystiana K. znaleziono zwłoki mężczyzny, mefedron, pigułki gwałtu i flaszkę z rozpuszczalnikiem. 16 września przed Sądem Rejonowym w Sosnowcu rozpoczął się proces karny pigularza w koloratce. Odpowiada on z wolnej stopy i nie przychodzi na rozprawy. Grozi mu do ośmiu lat pierdla. W Watykanie toczy się proces kościelny.

✚ Nietypowy prezent dotarł do Watykanu z Kołobrzegu Budzistowa. Czystej krwi arabskiego ogiera o imieniu Proton podarował papieżowi Leonowi XIV Andrzej Michalski, właściciel i założyciel stadniny koni. Zwierzę będzie bezpieczne z papieżem, bo – jak wiadomo – głowa Kościoła katolickiego nie może bić konia.

✚ Parafia św. Jadwigi w Rybniku idzie z duchem czasu. W kościele pojawił się automatyczny dozownik z wodą święconą. Po podstawieniu dłoni zapala się dioda i leci płyn. Technologia jest przemyślana, albowiem automat zawiera marmurowy okap, dzięki czemu święte soki nie kapią na podłogę i wracają do osobnego pojemnika. Woda święcona bez bakterii kałowych to już nie to samo, ale nie nam osądzać.

✚ Jak donoszą media, polska gwiazda Kasia Smutniak zagra rolę Matki Boskiej w kontynuacji „Pasji" Mela Gibsona. Ponieważ aktorka aktywnie wspierała Strajk Kobiet, wyrażamy obawę, że zastąpi ją Kaja Godek.

✚ Ksiądz Rafał Główczyński, znany w sieci jako „Ksiądz z osiedla", założył konto na erotycznej platformie OnlyFans. Celem nie było publikowanie miłosnych zapasów, lecz zebranie funduszy na utrzymanie ewangelizacyjnej klubokawiarni Cyrk Motyli w centrum Warszawy. Lokal powstał w dawnej agencji towarzyskiej, co sam ksiądz uznał za symboliczny gest „odwracania trendu", w którym opuszczone kościoły zamieniają się w kluby nocne. Mimo zapewnień duchownego, że pan Jezus też chodził do miejsc kojarzonych z grzechem, konto na platformie OnlyFans zostało zawieszone. „W wyniku wielu rozmaitych wiadomości prywatnych i telefonów, stwierdziłem, że jednak z tego zrezygnuję" – wyjaśnił ks. Główczyński. Proszę księdza, można jeszcze „na wnuczka", „na policjanta" i „na życie wieczne".

KLECHA

Rys. JANUARY

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Kto się boi wolności

Noblistka, „Die Welt" i polski antysemityzm

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

17 października na krakowskim festiwalu „Gra z Kantorem: Rumunia – widma przeszłości" miała pojawić się niemiecka pisarka rumuńskiego pochodzenia, noblistka Herta Müller. Spotkanie z wybitną autorką odwołano. Uzasadnienie decyzji oraz wyrosłe na jej kanwie komentarze wydają się sugerować, by nie uderzać przedwcześnie w dzwon ochrony wolności słowa – oraz że organizatorzy, mówiąc językiem dalekim od literackiego, zwyczajnie dali dupy.

Kwadratura koła

„Z przykrością informujemy, że spotkanie z Hertą Müller (…) zostaje odwołane z przyczyn niezależnych" – poinformowali w lakonicznym komunikacie na swoich stronach internetowych organizatorzy festiwalu: Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora Cricoteka i Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie. Dyrektorka Cricoteki Natalia Zarzecka uzasadniła decyzję „negatywnymi i pełnymi nienawiści" komentarzami w mediach społecznościowych, które pojawiły się pod zapowiedzią wydarzenia. Organizatorzy imprezy wysłali do noblistki maila z ostrzeżeniem, że jej wizyta może sprowokować antyizraelskie wystąpienia, i zaproponowali, aby przemowa pisarki została wcześniej nagrana i wyemitowana podczas festiwalu z taśmy.

Müller dostała wkurwu. Na łamach niemieckiego „Die Welt" wyraziła żal, że instytucja powołująca się na Kantora nie broni swoich wartości, po czym przejechała się po kraju nad Wisłą, mówiąc, że jest oburzona tym, że coś takiego jest możliwe także w Polsce, a „ludzie, którzy wywierają presję, zrezygnowali z myślenia". Ponadto dołożyła organizatorom: „Ci ludzie wycofali się, ulegli konformistycznej presji, profilaktycznie dopasowali się, podporządkowali się". Trudno się dziwić takiej reakcji, jednak późniejsze słowa Müller o ataku na wolność słowa można wsadzić między książki.

Ciężar opinii

Brak aplauzu części fanów literatury wobec zapowiadanej i unicestwionej uczty kulturalnej nie dziwi. Herta Müller – oględnie rzecz ujmując – niespecjalnie interesuje się losem ofiar izraelskich czystek w Palestynie i chętnie podsyca swoje opinie zgraną kartą antysemityzmu.

Na początku października pisarka w udzielonym „Die Welt", a przedrukowanym przez „Gazetę Wyborczą" wywiadzie, na pytanie dziennikarza, dlaczego nie ma porównywalnej kolektywnej solidarności z Izraelem – nawet biorąc pod uwagę tak straszną w skutkach politykę jego prawicowego rządu – mówiła tak: „Konsekwencją regularnych demonstracji propalestyńskich jest zastraszanie osób o bardziej zniuansowanych poglądach. Również to zastraszanie jest zaplanowane". I dodała diagnozę, że „ludzie na Zachodzie od dawna żyją w wolności, w pewnym sensie stała się ona dla nich przezroczysta. Nie są przyzwyczajeni do wyrażania sprzeciwu wbrew większości i bronienia własnego zdania". Pisarka nie dostrzega, że oto tłamszona przez izraelskie władze Palestyna pierwszy raz od dziesięcioleci doczekała się uwagi zachodniego świata. Niestety, stało się to w wyniku nowej wojny, która swój początek miała w masakrze urządzonej przez terrorystów z Hamasu na izraelskiej ludności cywilnej, a kontinuum w politycznych aspiracjach przywódcy Izraela, które zrównały Gazę z ziemią – ale jednak.

Trzeba to podkreślić, bo choć autorka skupiała się w rozmowie na nastrojach niemieckich, osią jej obserwacji była narracja, że „są intelektualiści, którzy od początku określali Hamas jako bojowników o wolność i nie zmieniają tej opinii; ich przekonania są tak głęboko zakorzenione, że fakty nie mają prawe żadnego znaczenia". Pełna zgoda, natomiast istnieje część społeczeństwa, która zwyczajnie nie zgadza się tak na czystkę etniczną spod batuty Izraela, jak i na terroryzm Hamasu. Tego Herta Müller już dostrzec nie chce albo zapiekłość poglądów przesłania jej fakty. Obojętnie, bo i tak wrzuca wszystkich do jednego wora – antysemitów.

W podobnym tonie wypowiadała się wcześniej podczas zorganizowanego przez Instytut Kultury Żydowskiej w Szwecji w maju br. „Forum 7 października", gdzie m.in. mówiła o wzroście antysemityzmu w Europie.

Rewolucja i dziecko

Lektura wiadomości przesłanej przez Cricotekę do autorki może sugerować, że Müller stała się ofiarą sukcesu własnej propagandy.

„Pragnę wyrazić nasze zaniepokojenie związane z wydarzeniami publicznymi, w których Pani weźmie udział. W ostatnich dniach w Polsce nasiliły się antyizraelskie i propalestyńskie protesty, szczególnie w kontekście Globalnej Flotylli Sumud. W związku z tym zatrzymano kilku obywateli polskich, w tym posła. Protesty trwają nadal przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych (w wyniku czego rozbito szkło) oraz przed prywatnym domem ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Inne protesty odbyły się w 10 miastach w całej Polsce, w tym w Krakowie. Od początku roku akademickiego (a Kraków należy do największych ośrodków akademickich) regularnie obserwowaliśmy propalestyńskie demonstracje na wydarzeniach całkowicie apolitycznych, ale postrzeganych jako związane z Izraelem. (…) Pani wizyta, a w szczególności otwarte spotkanie z publicznością, mogłyby zostać wykorzystane jako pretekst do antyizraelskich wystąpień. Obawiamy się, że może dojść do bezpośrednich ataków słownych" – można przeczytać w korespondencji do noblistki.

Brzmi niepokojąco, ale medycyna zna rozwiązania na problem stanów lękowych. Owszem, podczas pokojowej demonstracji w Warszawie doszło do dwóch awantur – oblano czerwoną farbą wejście do budynku MSZ, a w drzwiach wejściowych wybito szybę. Policja interweniowała i zatrzymała dwie osoby (w tym mężczyznę podejrzanego o zamach na drzwi). W internecie krąży film z ataku wywrotowca. Na szczęście wygląda na gówniarski wybryk, a nie motyw przewodni z nazistowskiej nocy kryształowej. Służby zabezpieczały także demonstrację pod ambasadą Izraela, jak i wszystkie pozostałe w kraju. Innych incydentów nie odnotowano.

„Die Welt" przytoczył opinię Wojciecha Przybylskiego, dyrektora think tanku Visegrad Insight, którego zdaniem akcje propalestyńskich grup nie budzą większego zainteresowania w Polsce, są jednak podchwytywane przez koła skrajnie prawicowe, w tym także przez Konfederację, co pozwala im podsycać antyizraelskie nastroje. W tym samym materiale niemiecki dziennik napisał, że „wcześniejsze publiczne wystąpienia noblistki, w których krytykowała masakrę dokonaną 7 października 2023 r. przez Hamas na Izraelczykach i piętnowała antysemityzm, stały się dla polskich działaczy propalestyńskich pretekstem do niedopuszczenia do wizyty".

Jak prawnuk noblisty z noblistką

Do wątku swoich pięć szekli dorzucił Bartłomiej Sienkiewicz, europoseł i były minister, który stwierdził, że „Hamas nie powinien rządzić w Krakowie" i domagał się wyciągnięcia konsekwencji. Pytanie wobec kogo, bo póki co wychodzi na to, że z gmatwaniny oszczerstw o antysemityzm utkano aferę o łamaniu wolności słowa przez propalestyńskich sympatyków, zestawiając ich z żydożercami skrajnej prawicy.

Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Palestyńczyków Polskich uznało słowa Sienkiewicza za obraźliwe i skrajnie nieodpowiedzialne – niestety nikogo to nie obchodzi, bo liberalny świat zmarszczył się na wieść o tym, że na pluszowym krzyżu cenzury uwieszono literacką milionerkę-celebrytkę.

Gdyby spojrzeć na całą sytuację z innej perspektywy, można by się pokusić o stwierdzenie, że histeryczne podejście Cricoteki narzuciło cenzurę przede wszystkim na oponentów noblistki. Szkoda, popieranie praw Palestyńczyków, mówienie o apartheidzie i kolonializmie osadniczym, krytykowanie syjonizmu jako formy nacjonalizmu – to nie jest antysemityzm. Może Müller miałaby szansę się o tym przekonać, gdyby obie strony dopuszczono do dialogu. Trudno sobie wyobrazić ku temu lepsze miejsce niż forum kultury.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

Szef niemieckiego wywiadu Martin Jaeger (Jaeger to po naszemu: myśliwy) ostrzegł w Bundestagu, że w każdej chwili możliwa jest „gorąca konfrontacja" z Rosją. Dlatego Niemcy wysyłają do Malborka – dawnej stolicy zakonu krzyżackiego – myśliwce Eurofighter z żelaznymi krzyżami na skrzydłach. W razie czego będą mogły się zderzyć z rosyjskimi Suchojami ozdobionymi czerwonymi gwiazdkami. Ale prawdziwy hit zaczyna się dalej. Trzeba wam wiedzieć, że pan Jaeger to były ambasador Niemiec w Kijowie, który niedawno przejął stery niemieckiego szpiegostwa po Brunonie Kahlu – tym samym, który o wybuchu wojny w Ukrainie dowiedział się z… radia, stojąc w korku w drodze z Kijowa do Polski. Bundeswehra, nie wiedząc co zrobić z taką kompromitacją w mundurze, ewakuowała Brunona pieszo przez Komańczę. Żeby się nie zmarnował, Bruno został ambasadorem przy Watykanie – klasyczna szpiegowska przykrywka. Tak wygląda walka o stołki w niemieckiej bezpiece: Jaeger siedzi na miejscu Brunona, a Bruno siedzi u papieża.

Fińska policja zatrzymała trzech obywateli Polski, podejrzanych o serię wysadzeń i kradzieży bankomatów. Do zatrzymania doszło po eksplozji w miejscowości Vaala. Polacy są też łączeni z wcześniejszymi wybuchami w Tervajoki i Eura z jesieni 2024 r. Łączne straty to około 285 tys. euro, z czego 85 tys. przypada na samą Vaala. Trzej mężczyźni nie przyznają się do winy. To nieprzyznanie się ma sens, a fińskie podejrzenia – nie bardzo. Bombiarstwo nie mieści się w naszej narodowej mentalności. Wysadzić może Niemiec, Amerykanin albo jakiś islamista. My, Polacy, gdybyśmy chcieli obrabować bankomat, przyszlibyśmy z palnikiem, młotem udarowym albo – w ostateczności – z wiertarką z Lidla.

Strażnicy graniczni zatrzymali w Malhowicach 62-letniego obywatela Ukrainy, który do odprawy okazał prawo jazdy wydane przez ZSRR. Mężczyzna ma stanąć przed sądem, jakby posługiwał się fałszywym dokumentem. To oczywiście wielka historyczna niesprawiedliwość, kiedy zwykły człowiek musi ponosić skutki błędów systemowych państw. Związek Radziecki podpisał Konwencję wiedeńską o ruchu drogowym (z 1968 r., obowiązującą od 1977), a radzieckie prawa jazdy wciąż są uznawane na Ukrainie, choć w Polsce już nie. Miejmy nadzieję, że sąd podejdzie do sprawy z rozsądkiem. Wszystko wskazuje bardziej na kolizyjność przepisów niż na próbę oszustwa. Nadgorliwość pograniczników przekroczyła jednak granicę i to dosłownie.

42-letnia Mirella ze Świętochłowic przez 27 lat była więziona przez własnych rodziców. Sąsiedzi byli przekonani, że dziewczyna zaginęła jako nastolatka, a tymczasem przez ponad ćwierć wieku żyła kilka metrów od nich – w czterech ścianach, bez okna na świat. Prawda wyszła na jaw dopiero teraz, po interwencji policji wezwanej do awantury domowej. Funkcjonariusze odkryli w jednym z pokoi skrajnie zaniedbaną kobietę, która nie była w stanie samodzielnie chodzić ani mówić pełnymi zdaniami. Nie miała ubrań, dokumentów, znajomych, a nawet pojęcia, co dzieje się za drzwiami pokoju. Dla świata zewnętrznego Mirella nie istniała. Nie figurowała w żadnych rejestrach, nie pobierała świadczeń, nie była nawet duchem statystyki. Obecnie znajduje się pod opieką lekarzy i pomocy społecznej. Policja prowadzi śledztwo, próbując ustalić, jak to możliwe, że przez tyle lat nikt nie zauważył piekła rozgrywającego się za ścianą zwykłego bloku. A przy okazji – rekord Josefa Fritzla, który przez 24 lata więził córkę Elisabeth w piwnicy domu w Amstetten, został właśnie pobity. I to nie w Austrii, lecz w Polsce.

Policja zatrzymała 34-letniego mężczyznę, który przez dwa lata ukrywał się w lesie w gminie Rudna, mieszkając w szałasie z patyków i godności. Był poszukiwany za napaść na kobietę i groźby karalne. Groziło mu 10 lat więzienia. Podczas interwencji rzucił nożem w policjantów, raniąc funkcjonariuszkę w nogę – więc dorobił sobie kolejne 10 lat. Został szybko obezwładniony, skuty i odwieziony do ciepłego aresztu. Czyli teraz przez następne dwie dekady będziemy mu fundować wikt, opierunek i terapię, podczas gdy w lesie żył samowystarczalnie, na pasikonikach i korze, nie obciążając budżetu państwa. Brawo, policjo! Skutecznie przywróciliście ciężar społeczny tam, gdzie go brakowało.

W Radymnie na Podkarpaciu 34-letnia pijana kobieta przywiozła samochodem pięcioletnią córkę do przedszkola. Parkując, uderzyła autem w pojazd policjanta, który był akurat poza służbą i też przywiózł swoje dziecko do przedszkola. Aby nie stresować dziewczynki, funkcjonariusz pomógł matce odprowadzić dziecko do sali, a potem wezwał patrol. Badanie wykazało 3,04 promila alkoholu, czyli dawkę z pogranicza śmiertelnej. Kobiecie zatrzymano prawo jazdy. Za kierowanie w stanie nietrzeźwości grozi jej do trzech lat więzienia, a jej córce mniej więcej tyle samo tymczasowego sieroctwa. No, mogło być gorzej. Gdyby nie policjant, sieroctwo mogłoby się wydłużyć na resztę życia.

RJ

PS Powyżej podane informacje pochodzą z mediów gminnych i różnych innych, na których – jak to już bywa – polegać się do końca nie da. Jakby się okazało, że coś tam nie tak jest napisane albo z palca wyssane, to z góry przepraszamy w imieniu własnym, naszych kolegów z terenu, no i tych z Warszawy.

REKLAMA

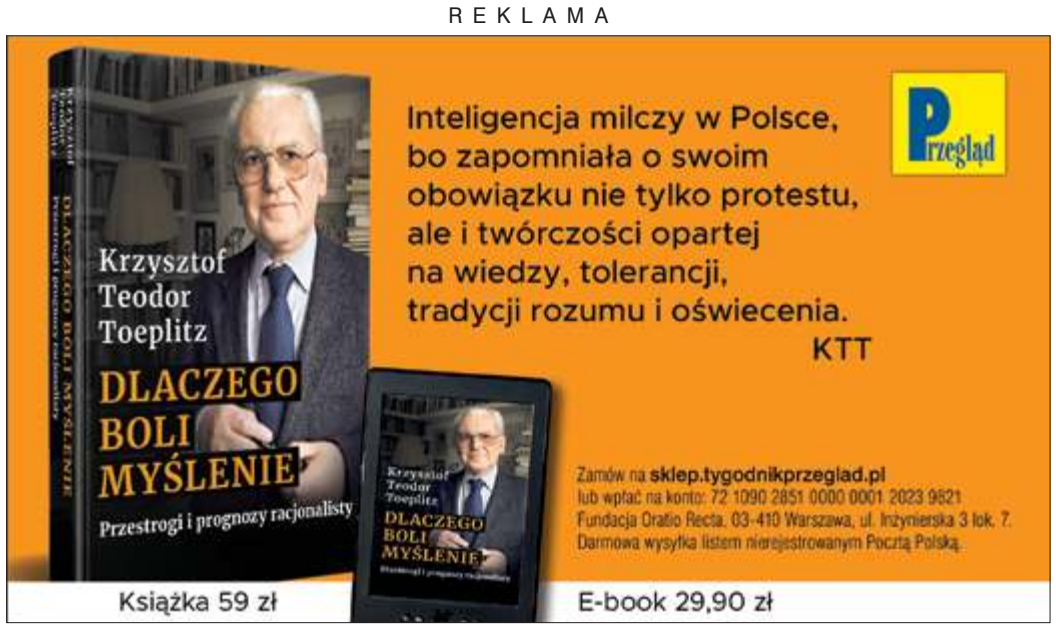

eprasa.pl 2b71fb3fd7

Igrzyska chopinowskie

Tym razem nie będę pisać o futbolistach, napiszę o pianistach.

Porównywanie konkursu pianistycznego do zawodów sportowych może się wydawać ryzykowne, ale naprawdę bez trudu da się wskazać podobieństwa. Pianiści – podobnie jak sportowcy – naukę rzemiosła zaczynają we wczesnym dzieciństwie. Już kilkulatkowie ślęczą nad klawiaturą instrumentu, podczas gdy ich rówieśnicy, których rodzicom marzy się dla ich pociechy kariera zawodowego sportowca, pędzeni są na treningi. I tu, i tam większość przyszłych gwiazd wykruszy się podczas tego procesu, a na placu boju pozostaną tylko najlepsi i najtwardsi.

Fani

Mamy za sobą XIX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie, jedno z najważniejszych wydarzeń muzycznych, odbywające się co pięć lat i obserwowane w wielu krajach świata. Główna impreza sportowa, igrzyska olimpijskie, odbywa się raz na cztery lata. I tu, i tam przerwy między tymi wydarzeniami poświęcone są w dużej mierze na przygotowania. Pianiści, podobnie jak sportowcy, uczestniczą w innych wydarzeniach. Sportowcy – wiadomo, mają mistrzostwa krajowe i kontynentalne, mityngi oraz mistrzostwa świata. Pianiści koncertują na całym świecie, nagrywają płyty, biorą udział w innych konkursach, jak choćby sławny konkurs im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie czy konkurs im. Ferruccio Busoniego w Bolzano (w 1973 r. wygrał go Polak Andrzej Ratusiński, wirtuoz fortepianu i wspaniały człowiek; wiem, bo mam zaszczyt znać go osobiście).

Od czasu, gdy utwory urodzonego w Żelazowej Woli kompozytora stały się popularne w Japonii, Chinach i innych azjatyckich krajach, kibice – jeśli można tak nazwać melomanów – raz na pięć lat zlatują się do naszej stolicy samolotami z odległych krajów, by osobiście śledzić występy swoich faworytów. Czy nie przypomina to fanów podążających za ulubionymi klubami podczas rozgrywek futbolowej Ligi Mistrzów?

Widownia filharmonii, a przynajmniej duża jej część, zna się na muzyce, ma swoich faworytów, którym z całego serca kibicuje. W pianistycznej rywalizacji uczestniczą artyści z wielu krajów, także Polacy. W tym roku do konkursu zakwalifikowało się 13 osób z Polski, po drugim etapie zostało czterech naszych reprezentantów, w finale grał tylko jeden – Piotr Alexewicz.

Niby muzyka klasyczna jest sztuką uniwersalną, ponadnarodową, ale polscy słuchacze, choćby podświadomie, trzymają kciuki za naszych. Mają zresztą dość mocny argument.

Muzykę Chopina, urodzonego na polskiej ziemi i wplatającego do swoich kompozycji motywy ludowych polskich melodii i tańców, najlepiej powinien rozumieć ktoś, kto także tutaj się urodził. Argument – moim zdaniem – mocno naciągany, bo prawdziwych mazurków prawie nikt już u nas nie słucha,

a poloneza znają tylko maturzyści z tańca tradycyjnie rozpoczynającego bal. Cudzoziemcy natomiast, przygotowując się do konkursu, słuchają polskiej muzyki ludowej, a niektórzy nawet próbują do niej tańczyć.

O wynikach konkursu chopinowskiego decyduje jury. Podobnie jak decyzje sędziów sportowych, rozstrzygnięcia jury przyznającego nagrody pianistom bywają kontestowane. Czasem wywołują skandale.

W 1965 r. pierwszą nagrodę VII Konkursu im. Fryderyka Chopina zdobyła fenomenalna Argentynka Martha Argerich. Oklaskiwałem jej grę w filharmonii, siedząc obok mamusi i krztusząc się od powstrzymywania kaszlu, o czym napiszę za chwilę. W 1980 r. zaproszono Argentynkę do jury X konkursu, podczas którego zachwycił publiczność Chorwat Ivo Pogorelić. Nie znalazł jednak uznania w oczach jury, bo był jakoby zbyt nowoczesny, a za mało „szopenowski" i wyeliminowano go z półfinału. Publiczność była ciężko zawiedziona, a Martha Argerich pieprznęła papierami o blat i natychmiast wyjechała z Polski, zaznaczając tylko, że wstyd jej było zasiadać w tym samym gronie co ultrakonserwatywni członkowie jury.

Trening

O tym, jak sportowcy przygotowują się do najważniejszych występów, piszę w tej rubryce co tydzień. Z pianistami – w przybliżeniu oczywiście – jest podobnie. Lata pracy, doskonalenie techniki, bezpośredni okres startowy (to sformułowanie żywcem wyjęte ze sportu), podczas którego wielokrotnie powtarzać trzeba przygotowany repertuar. Nie bez znaczenia jest odpowiednia regeneracja, bo występ pianisty – o czym często się zapomina – to

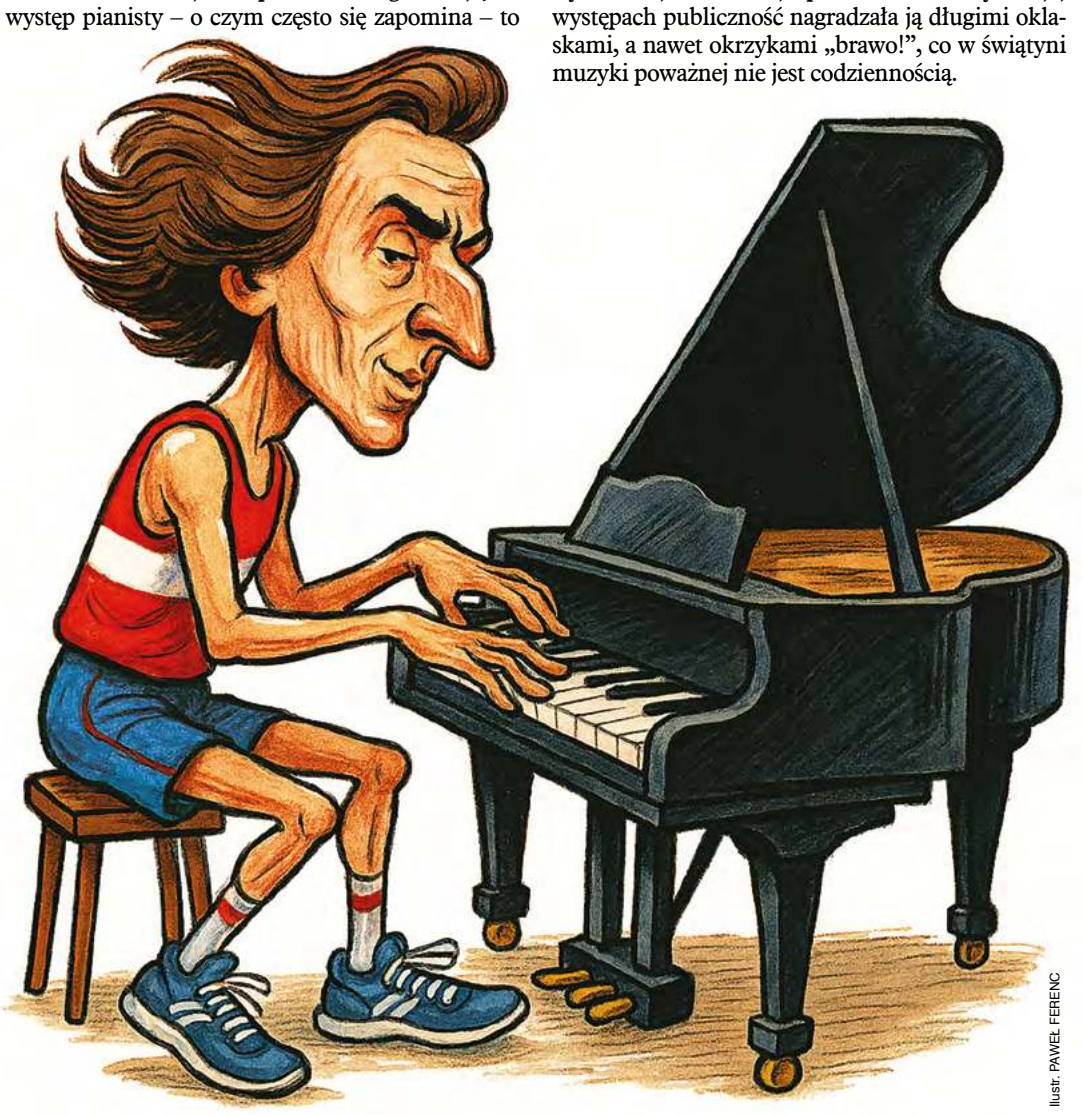

Ilustr. PAWEŁ FERENC

naprawdę ciężka fizyczna harówa, podczas której utrzymać trzeba koncentrację, żeby przypadkiem nie zawadzić palcem o sąsiedni klawisz albo nie zgubić jakiegoś dźwięku.

Konieczność utrzymywania podczas całego występu koncentracji to nie jedyna analogia z grą w tenisa na najwyższym poziomie. Popatrzmy na tenisową elitę kobiet, która spotka się w kończącym sezon turnieju WTA w Dubaju (oczywiście jest w niej Iga Świątek). Czy któraś z ośmiu arcymistrzyń ma braki w technice? Żadna. Oczywiście jedne mają lepszy bekhend, a inne forhend, to samo można powiedzieć o serwisie i returnie, ale wszystkie mają doskonale opanowane nawet swoje słabsze strony. W pewnym przybliżeniu można powiedzieć, że potrafią wszystko. O tym, która wygra mecz, decyduje wiele czynników: wybór taktyki, koncentracja, zmęczenie sezonem i – uwaga! – dyspozycja dnia.

Dlaczego zwracam szczególną uwagę na dyspozycję dnia? Bo od tego bardzo wiele zależy i na korcie i na estradzie, na której występują pianiści. Każdy, nie tylko sportowiec albo pianista, wie, że są dni, w których wszystko „idzie" albo „nie idzie". Rzecz jasna sportowiec nie jest skazany na ślepy los, ma do dyspozycji psychologa, fizjologa, sztab medyczny. Nie znam się na muzyce klasycznej na tyle, żeby przedstawić sposoby radzenia sobie z gorszymi dniami przez startujących w konkursach pianistów, ale na pewno też mają jakieś swoje sztuczki.

Cudowne dzieci rodzą się i na boiskach, i w salach koncertowych. Jeśli chodzi o piłkę nożną, wystarczy wspomnieć Lamine'a Yamala, Hiszpana o marokańsko-gwinejskim pochodzeniu. Ten urodzony w 2007 r. dzieciak strzelił bramkę dla reprezentacji kraju, w którym mieszka, w meczu z Gruzją w wieku 16 lat i 56 dni, a podczas półfinału mistrzostw Europy zdobył gola w meczu przeciw reprezentacji Francji cztery dni przed swoimi 17. urodzinami. Moim zdaniem właśnie on bardziej zasłużył na Złotą Piłkę niż Ousmane Dembélé, którego w tym roku wyróżniono. Ale kogo obchodzi moje zdanie? W Polsce jakoś nie chcą się rodzić cudowne futbolowe dzieci. Należę do szczęśliwców, którzy mieli okazję na własne oczy oglądać jedynego takiego piłkarza – Włodzimierza Lubańskiego.

Również nikt z jury XIX Konkursu im. Fryderyka Chopina nie zapytał o moją opinię ani o osąd innych słuchaczy. Tymczasem po prostu powaliła mnie młodziutka (17 lat skończyła dopiero w dniu występów laureatów konkursu) Chinka Tianyao Lyu i nie jestem w tej opinii odosobniony. Po jej występach publiczność nagradzała ją długimi oklaskami, a nawet okrzykami „brawo!", co w świątyni muzyki poważnej nie jest codziennością.

Rok temu wygrała konkurs pianistyczny dla dzieci i młodzieży im. Chopina we wsi Szafarnia w woj. kujawsko-pomorskim. To nie jest wsiowa impreza w remizie strażackiej, tylko nie byle jakie współzawodnictwo, organizowane od 1992 r. Udział biorą w nim utalentowani, znani później artyści, oceniani przez bardzo szacowne jury.

Komentatorzy i sponsorzy

Każdy, nawet ligowy, mecz piłkarski komentuje w studiu telewizyjnym grono specjalistów, przeprowadzane są także krótkie wywiady z bohaterami. Podobnie wyglądało to podczas konkursu chopinowskiego. Komentatorom wręcz brakowało słów uznania dla Tianyao Lyu, nazywali ją nawet reinkarnacją Chopina. Może to już troszkę przesada, nie wiadomo, jak Chopin grałby swoje kompozycje, przecież nie nagrywano w jego czasach płyt. Instrument, do jakiego Chopin zasiadał, bardzo różnił się od współczesnych. W każdym razie muzyka spod palców uroczej Chinki płynęła jak, jak… dziennikarzynie sportowemu brakuje słów do jej określenia. Najtrudniejsze fragmenty wykonywała jak gdyby bez wysiłku. Ot, siadła do fortepianu i po prostu zagrała.

W ogóle trudno było sobie wyobrazić, ile godzin Tianyao Lyu musiała spędzić przed klawiaturą i ile – nie oszukujmy się – kosztowało ją to wysiłku i bólu. Zaspokoić nasze patriotyczne uczucia może fakt, że od półtora roku studiuje w Akademii Muzycznej w Poznaniu w klasie prof. Katarzyny Popowej-Zydroń, gdzie nazywana jest naszą Marysią.

Tianyao Lyu grała w warszawskiej filharmonii na fortepianie włoskiej marki Fazioli, która nie ma długich tradycji, ale coraz częściej wybierana jest przez pianistów. Specjaliści mogą wypowiedzieć się, czym ton tego instrumentu różni się od innych, które przedstawiono do wyboru uczestnikom konkursu chopinowskiego. Wybierano go na tyle często, że nie bywał idealnie nastrojony, musiał wiele wytrzymać, nim stroiciele zabrali się w nocy do pracy. Oczywiście fakt, że wybitni artyści wybierają fortepian określonej marki, stanowi doskonałą reklamę firmy. Czy Fazioli płaci coś Tianyao Lyu za granie na swoim wyrobie – przyznaję – po prostu nie wiem.

W sporcie sprawa jest jasna. Wystarczy przypomnieć, ile szumu na całym świecie zrobiła zmiana sponsora obuwia i stroju przez Igę Świątek. W piłce nożnej kluby i reprezentacje dość często zmieniają ubiory i przy okazji inkasują spore sumy. Nawiasem mówiąc, to nie tak stary trend. Do mundialu w 1966 r., który wygrała Anglia, regułą było, że piłkarskie drużyny same musiały kupować sobie sprzęt. Nikt im za to nie płacił, najwyżej dał upust.

Savoir vivre

Wracam do zakończonego konkursu chopinowskiego. Gdy przeczytałem w Onecie nagłówek: „Oburzenie wśród widzów konkursu chopinowskiego! Efekt globalnego upadku obycia!", przestraszyłem się, że szarksi ze stadionu Wisły Kraków, albo psychofani Ruchu Chorzów zawładnęli Filharmonią Narodową i obrzucali artystów najgorszymi wyrazami, a pianistom o azjatyckich rysach twarzy (ich jak raz było wielu) dostało się od pierdolonych żółtków. Tak, chamstwa i rasizmu coraz więcej w naszym kraju, ale na szczęście na widownię konkursu chopinowskiego jeszcze nie dotarły. Gdy przeczytałem wiadomość Onetu do końca, dowiedziałem się, że autora artykułu oburzyły odgłosy kaszlu pojawiające się na widowni w przerwach między występami. Miało to być przejawem braku szacunku wobec artystów.

W sieci pojawiło się oczywiście wiele komentarzy, nawet teoria o jakimś paskudnym wirusie, który zagnieździł się w gmachu filharmonii. A gdzie tam! Bywałem na widowni konkursów chopinowskich i wiem, jak to jest z tym kaszlem.

Moja mama była pianistką amatorką, u nas w salonie stał czarny Bechstein, na którym grywała z nut przyniesionych z księgarni. Ja też przyuczany byłem na muzyka. Nauczyciel przychodził do naszego mieszkania wdrażać mnie do gry na skrzypcach, co dla nas obu było średnią przyjemnością. Aha, byłbym zapomniał. Byłem też członkiem chóru dziecięcego, w którym zostałem nawet solistą i mama mogła z dumą usłyszeć, jak śpiewam w radiu „Gdybym to ja miała skrzydełka jak gąska". Mutacja głosu związana z okresem dojrzewania brutalnie przerwała moje śpiewacze zapędy. Skrzypce porzuciłem dla piłki ręcznej.

Jednym z muzycznych obowiązków bezdyskusyjnie wymaganych przez rodzicielkę były wizyty w Filharmonii Narodowej, ze szczególnym uwzględnieniem konkursów chopinowskich. Najbardziej z tego zapamiętałem kaszel, a raczej moje rozpaczliwe powstrzymywanie się od niego, bo wiedziałem, że zakaszleć podczas trwania występu to gorzej niż zbrodnia. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej zbierało mi się na kasłanie. Już nawet nie zwracałem uwagi na muzykę, skupiałem się tylko na tym. Utwory muzyki klasycznej są z reguły długie, nic więc dziwnego, że gdy tylko nastąpiła przerwa, publiczność biła brawo, ja charczałem, jak gdybym właśnie zachorował na koklusz.

Tak oto rozwikłałem przed Czytelnikami tajemnicę rzekomo chamskiego zachowania publiczności podczas trwania XIX pianistycznego konkursu im. Fryderyka Chopina.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 22.10.2025 r.

eprasa.pl 2b71fb3fd7

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Agencja prasowa: „Łojezu, łojezu, w piątek w drzwi budynku przy ul. Wiejskiej w Warszawie, w którym mieści się m.in. siedziba Platformy Obywatelskiej, ktoś próbował zdetonować bombę atomową. Świadkowie relacjonowali, że sprawca uruchamiający zapalnik został odepchnięty, a bomba ostatecznie nie wybuchła”.

Stacja telewizyjna: „Na miejscu wciąż pracują funkcjonariusze policji, którzy zabezpieczyli teren zdarzenia. Zniszczenia ograniczają się do rozbitego szkła, a – co najważniejsze – nikt nie odniósł obrażeń. Łojezu!”.

Informacyjny serwis internetowy: „Łojezu! Mężczyznę zatrzymano rano w poniedziałek – poinformowała Komenda Stołeczna Policji w serwisie X. Zatrzymany 44-latek jest Polakiem i mieszkańcem powiatu łosickiego. Łojezu, łojezu”.

Minister spraw wewnętrznych: „Łojezu. Mężczyzna został zatrzymany w Łosicach, bo tam mieszkał. W maju był już zatrzymany za groźby stawiane na portalu X wobec premiera. Wtedy groził premierowi zabójstwem. Teraz mamy bombę atomową…”.

Poseł Platformy: „Po pierwsze ten osobnik wykrzykiwał przekleństwa pod adresem Platformy Obywatelskiej. I druga kwestia, że ma już bogaty życiorys, jeśli chodzi o kwestię gróźb wobec premiera. To chyba wskakuje jasno, że jest to produkt tej nienawiści politycznej, która jest sączona od wielu, wielu lat przez niektóre środowiska polityczne. Łojezu”.

Premier na X: „Jezusmariajózefieświęty! W czerwcu sprawca usłyszał zarzuty za grożenie mi śmiercią, w październiku próbował zdetonować bombę atomową. Bąkiewicz i Kaczyński muszą być zadowoleni. To na ich wiecu kilka dni wcześniej pierwszy krzyczał, by nie bać się sądów, wyrwać chwasty i rzucać bomby atomowe, by chwasty nie odrosły”.

Kaczyński: „Ojtam, ojtam, ojtam… Niech oni się za gospodarkę wezmą. Deficyt budżetowy jest ważny, a nie bomba atomowa! Wszystko jest winą premiera”.

Bąkiewicz: „Ojtam, nie bójta się prokuratora i traktora. Wyrwać chwasta, dobić, napalm rzucić albo bombę atomową, jak kto ma”.

Lider skrajnej prawicy: „Ojtam, ojtam… To ewidentna prowokacja polityczna. Podstawiony zamachowiec, podstawiona bomba atomowa. Wszystko, żeby współczuć premierowi i wzbudzić nienawiść do opozycji. Ojtam”.

Poseł umiarkowanej prawicy: „Po pierwsze, to nie była bomba atomowa, tylko kapiszon. Po drugie, kapiszon został wyprodukowany w Niemczech. Po trzecie, gdyby był wytworzony w Polsce, toby wybuchł. Po czwarte, ojtam”.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

PS Wykorzystano relacje Polskiej Agencji Prasowej, TVN24 i serwisu wprost.pl.

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jest dziwacznie uradowana. **JOANNA SENYSZYN** przygląda jej się z niepokojem.

Wołk-Łaniewska: – Muszę ci opowiedzieć coś optymistycznego.

Senyszyn: – Jak musisz…

– Otóż Blanche DuBois miała rację. Można liczyć na życzliwość nieznajomych…

– Ale ty masz świadomość, że Tennessee Williams wzorował postać Blanche na swojej siostrze, która miała schizofrenię?

– Tak, i co z tego?

– To może nie jest szczególnie dobry wzorzec do naśladowania?

– Oj, za dosłowna jesteś. A ja ci opowiem optymistyczną historię o serii moich niefartów.

– To brzmi intrygująco.

– Otóż mój 20-letni bez mała Saab ostatnio niedomaga. A potrzebuję, żeby domagał, bo muszę wozić mamusię, która się latem połamała i jeszcze nie do końca sprawnie chodzi. Miałyśmy jechać do teatru, ale samochód nie odpalił, więc zawołałam bolta i pan kierowca wyrwał się zza kierownicy, żeby mamusi otworzyć drzwi i zamknąć drzwi, i schować balkonik, i podać balkonik, i był ogólnie uroczy. A potem, w teatrze, jakaś para młodych ludzi ustąpiła nam miejsca w pierwszym rzędzie, a sama usiadła na naszych, w przedostatnim, bo tam były stopnie i mamusia miałaby kłopot z wejściem.

– No, to rzeczywiście miło…

– Dla ciebie to nie dziwota, że ludzie są mili bez powodu, bo jesteś celebrytką, ale dla nas, szarych obywateli, to było naprawdę zaskakujące. I to nie koniec tych pozytywnych zaskoczeń. Bo kiedy próbowałam wyjąć akumulator, żeby go postawić w domu na prostownik, to mi się urwało cięgło do podnoszenia maski…

– I zamiast podniesienia maski podniosłaś się na duchu?

– A żebyś wiedziała. Bo znalazłam w necie uroczego pana, który przyjechał z Milanówka i otworzył mi tę maskę za 70 zł. A jeszcze potem, czyli nazajutrz, kiedy montowałam z powrotem naładowany akumulator, inny uroczy pan przejeżdżający na rowerze się zatrzymał i zapytał, czy nie trzeba mi pomóc.

– Pewnie się przeraził, jak zobaczył kobitę z kluczem francuskim w ręku…

– No, może to było troszeczkę patriarchalne, ale tak czy inaczej ten ciąg zdarzeń przywrócił mi wiarę w człowieka.

– Bo jak nauczał Cybulski w filmie „Pingwin”: „trzeba wierzyć w człowieka, koleś”…

– Owszem. A my o tym zapominamy na co dzień, bo żyjemy polityką, w której taka wiara byłaby przejawem zbrodniczej naiwności. Więc chciałam tobie i Czytelnikom przypomnieć, że nie cały świat mieści się w przestrzeni między Tuskiem i Kaczyńskim…

– Ani między Kosiniakiem i Kamyszem. Ale kim ty jesteś i co zrobiłaś z moim Wołkiem? Zakochałaś się może?

– Kiedy właśnie nie. Nie mam w kim…

– No jak to nie masz? Ciągle jakichś uroczych panów poznajesz, a to w Bolcie, a to na rowerze…

– Są to niestety dość przelotne znajomości… Ale w tym, co mówisz, coś może być. Bo ja się zawsze zakochiwałam na jesień – to może w tym roku, zamiast w konkretnym mężczyźnie, zakochałam się w ludzkości en bloc?

– O to cię nie podejrzewam. Już raczej samarytańska opieka nad mamą wyzwoliła w tobie wiarę w człowieka, bo przecież oceniamy innych po sobie. Ale z drugiej strony – ja też ciągle odczuwam ludzką życzliwość i to dodaje mi skrzydeł. Bez niej chyba bym nie wytrzymała takiego maratonu spotkań w całej Polsce, jaki mam od czerwca. Zauważ, że ostatnio mamy kłopoty, żeby się spotkać, a już się za tobą stęskniłam, a jeszcze bardziej za twoją kuchnią, bo dialogować można i przez telefon, ale to jednak nie to samo, co patrząc sobie w oczy. Czy już sprawdziłaś kalendarz i przyjedziesz do Gdyni na Halloween?

– Będziemy chodzić po domach i domagać się cukierków?

– Jak chcesz, to se chodź, ale ja cię zapraszam na przyjęcie, nie na żebranie. Robię okolicznościowe imprezy, od kiedy kler zaczął tępić nieszkodliwą zabawę, a katecheci – organizować konkurencyjne „Holy Wins”, czyli „święty zwycięża”. Dzieci przebierają się za ulubionego świętego, uczą jego życiorysu i odstawiają cyrk. Zabawa się nie przyjęła, bo była nudna i drętwa, choć przecież w poczcie świętych są masowi mordercy, oszuści, złodzieje, seksoholicy, narkomani, sataniści… Zresztą historia syna marnotrawnego pokazuje, że lepiej się nawrócić niż całe życie być porządnym.

– To całkiem jak z politykami: szczególnie celebruje się zaprzańców z drugiej strony. Wyobrażasz sobie, że Tusk wpuściłby Giertycha na listę, gdyby nie był wicepremierem u Kaczyńskiego?

– A mówiłaś, że świat nie mieści się między Tuskiem i Kaczyńskim… Wracając do świętych: jeszcze lepszy jest życiorys św. Ewilazjusza, pogańskiego kapłana, który torturował 13-letnią dziewczynkę za to, że była chrześcijanką, a doceniając jej męstwo w znoszeniu cierpienia, przyjął chrześcijaństwo, za co został ukatrupion tak jak jego ofiara – w kotle z wrzątkiem. Za sprawą jednych tortur jest dwoje świętych. Godna polecenia wydajność pracy. À propos pracy: słyszałaś o nowej robocie Dudów?

– Owszem. Były prezydent zatrudnił się w firmie od inżynierii finansowej, a była prezydentowa u Glapińskiego.

– Albo nie, bo jak się już mleko wylało, NBP zaczął dementować, że „Pani Agata Kornhauser-Duda nie jest zatrudniona w NBP”, co oczywiście nie znaczy, że nie może zostać…

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A to by mnie nawet ucieszyło, bo jej się należy kilka przyzwoitych lat z dala od Anżeja. Dziewczyna jest w moim wieku, czyli już nie taka młoda, ostatnią dekadę zmarnowała…

– Nie przesadzaj z tym zmarnowaniem. Pojeździła po świecie, stylistki ją ubierały, nie musiała się niczym zajmować, bo wikt i opierunek miała w pałacu. Nie musiała też nic mówić, bo wszyscy się przyzwyczaili do jej milczenia. Tym bardziej szokujący był jej wybuch pożegnalny: „Coś się kończy, coś zaczyna. Ja chyba jestem najszczęśliwszym człowiekiem w tej kancelarii. Pożegnam się z państwem słowami mojej ukochanej piosenki: »To już jest koniec, nie ma już nic, jesteśmy wolni, możemy iść«…”

– I okrasiła to śmiechem perlistym, który był nieco zaskakujący, zważywszy, że przez 10 lat nie śmiała się w ogóle. Najwyżej uśmiechała półgębkiem nieszczerze. Ale pomyśl sobie: jakbyś przez dekadę była skazana na towarzystwo Andrzeja Dudy…

– Już nie rób z niej męczennicy. Widziały gały, co brały…

– Kto się ożenił, rozwieść się musi – mówi staropolskie przysłowie, które zawsze nienatrętnie wplatam w moje życzenia ślubne. Może dlatego przestali mnie zapraszać na śluby…

– Nie mam tego problemu, bo dzieci moich znajomych już dawno po ślubie, a wnuki jeszcze za małe. A z powiedzonek o rozwodach lubię prawnicze: „Przyczyną rozwodów jest małżeństwo”. I jeszcze takie życiowe: że pierwszej żonie mąż zawdzięcza karierę, a karierze – drugą żonę. Andrzej na początku prezydenckiej kariery coś tam podobno kombinował, ale oboje z Agatą bali się rozwodu, bo chcieli mieć drugą kadencję…

– No właśnie, ona nie mogła się rozwieść przez 10 lat. Z Andrzejem Dudą! Nawet jeśli uznamy, że była to kara za niemądre zamążpójście, to w pełni wyczerpuje znamiona kary okrutnej i nieludzkiej.

– Znowu przesadzasz, ale przyznam ci rację, że Dudowa mogłaby doradzić Glapie milczenie, bo gada jak najęty. Choć niekoniecznie jest to rada warta 35 tys. zł miesięcznie, a tyle średnio mają jego doradcy.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 2b71fb3fd7